



BERNHARD JAUMANN

SĘPOM
NA POŻARCIĘ



SĘPOM NA POŻARCIE

BERNHARD JAUMANN

**Tej książki nie da się kupić. Skąd więc się u Ciebie
wzięła? Dowiesz się na ostatniej stronie.**

Redaktor prowadzący: Alicja Janusz, Dawid Wiktorski

Tłumaczenie: Dorota Sulej, Alicja Janusz, Agata Łacińska, Zuzanna Mamala, Joanna Mirek, Izabela Mulawa, Anna Przepiórka, Justyna Sadowska, Radosław Wójcik, Marlena Zalewska

Redakcja: Justyna Dąbrowska, Anna Dudało, Karolina Grzeszczak, Alicja Kielczewska, Krzysztof Matkowski, Zuzanna Pikul, Łukasz Skoneczny

Korekta: Maria Bernaciak, Kinga Grodzka, Katarzyna Homoncik, Kaja Jaroszevska, Bożena Kleszcz, Katarzyna Kon, Milena Macul, Katarzyna Płońska, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk, Maciej Sznurkowski, Dominika Świątkowska, Magdalena Żurawska

Koordinacja działu redakcji: Anna Dudało, Karolina Grzeszczak, Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja działu korekty: Kaja Jaroszevska, Alicja Podkalicka

Koordinacja działu weryfikacji: Anita Brzozowiec, Małgorzata Lisiecka, Damian Szandecki

Koordinacja działu recenzji: Anna Baj, Magdalena Piniak

Koordinacja działu ilustracji: Anita Brzozowiec, Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja działu audio: Magda Brumirska-Zielińska

Koordinacja działu marketingu: Marta Szymczyk

Koordinacja działu tłumaczeń: Alicja Janusz

Ilustracja na okładce: Helena Wystras

Projekt typograficzny: Kamila Dankowska

Skład i łamanie: Dominika Świątkowska

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

ePub: 978-83-66058-33-0

mobi: 978-83-66058-34-7

PDF: 978-83-66058-32-3

Oprawa miękka: 978-83-66058-35-4

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formacie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.



SPIS TREŚCI

Przedmowa	13
Sępom na pożarcie	15
Noc nad Unną	55
Śnieg na Blutkuppe	71
To nie jest bajka dla Bönen	85
Hagen, Równina 2	101
Przelatujące wrony zwiastują dobry dzień	113
Bad Feilnbach, po prostu	123
Magda i Mario	137

FANTAZMATY SĄ TWORZONE PRZEZ:

Redaktorzy: Anna Baj, Agata Bisiecka, Magda Brumirska-Zielińska, Anita Brzozowiec, Justyna Dąbrowska, Anna Dudało, Sylwester Gdela, Michał Gola, Karolina Grzeszczak, Alicja Kielczewska, Magdalena Kucenty, Aleksandra Machnowska, Krzysztof Matkowski, Łukasz Skoneczny, Anna Skóra, Damian Szandecki, Marta Szymczyk, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dawid Wiktorski

Korektorzy: Maria Bernaciak, Aleksandra Buczyńska, Katarzyna Burska, Justyna Dąbrowska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Katarzyna Homoncik, Kaja Jaroszevska, Bożena Kleszcz, Katarzyna Kon, Milena Macul, Katarzyna Płońska, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszevski, Paweł Sadowski, Anna Skóra, Ilona Skrzypczak, Agnieszka Stawarczyk, Paulina Szedler, Maciej Sznurkowski, Dominika Świętkowska, Maria Truś, Matylda Zatorska

Weryfikatorzy: Agata Bisiecka, Anita Brzozowiec, Katarzyna Burska, Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Aleks Gapski, Joanna Gasińska, Patrycja Gil, Michał Gola, Paulina Grzybowska, Marcelina Kopaczka, Magdalena Kowalewicz, Aleksandra Krasińska, Małgorzata Lisiecka, Anna Łapińska, Jakub Moroński, Patrycja Pancierz, Ilona Skrzypczak, Damian Szandecki, Anna Twarowska, Jakub Węgrzynowski, Anna Wybraniec

Recenzenci: Anna Baj, Rafał Bartos, Agnieszka Chodkiewicz, Tymoteusz Czyż, Szymon Góraj, Aleksander Killman, Aleksandra Klęczar, Magdalena Kowalewicz, Małgorzata Królikowska, Małgorzata Lisiecka, Anna Łapińska, Anna Minge, Marek Młodzikowski, Marcin Piecyk, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Patrycja Smaga, Klaudia Sowiak, Paula Wanarska, Anna Wybraniec, Szymon Żak

Graficy: Emilia Baczyńska, Kamila Dankowska, Marta Szymczyk

Webmasterzy: Marta Szymczyk, Dawid Wiktorski

Lektorzy: Mieszko Keck, Aneta Kosno, mako

Marketing, media społecznościowe: Magdalena Czerniak, Sylwester Gdela, Marta Szymczyk, Szymon Żak

PRZEDMOWA

Jedną z największych przyjemności, jakie niesie ze sobą znajomość języka obcego, jest możliwość obcowania z szerokim spektrum wydanej w nim literatury. Wiele z tych pozycji nigdy nie doczekało się polskiej wersji, przez co pozostały naszym czytelnikom zupełnie nieznanymi. Do takich tekstów zalicza się część twórczości Bernharda Jaumanna, z którego kryminałami tłumacze zapoznali się jeszcze na studiach, podczas zajęć z tłumaczeń literackich. Wówczas, w ramach projektu, mierzyliśmy się z przekładem opowiadań tego niemieckiego pisarza. Owocem naszej pracy były pamiętkowe antologie opublikowane przez Wydawnictwo UMCS. Pomyślałam wtedy, że warto by było zaprezentować te teksty szerszemu gronu odbiorców.

Chociaż nie obyło się bez trudności, w końcu po kilku miesiącach ciężkiej pracy oddajemy w wasze ręce antologię „Sępom na pożarcie”, składającą się z ośmiu opowiadań. Każde z nich przeniesie was w inny świat. Podczas lektury niejednokrotnie to od nas, czytelników, zależy decyzja, gdzie leży granica między snem a jawą, prawdą a fałszem, dobrem a złem.

Pragnę serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy pracowali nad ponownym wydaniem antologii. Życzę przyjemnej lektury!

Alicja Janusz

SĘPOM NA POŻARCIE

Tłum. Alicja Janusz, Joanna Mirek, Anna Przepiórka

1

Przeklęty czerwony piach. Płonące niebo nad pustynią Namibii. Przedemną rozżarzone nagie skały. Majaki migoczących ogniście drzew na horyzoncie. Przezroczyste żywoty zamierające w piskach gekonów. Brnę dalej. On tu jest. Gdzieś. Zakopany w piachu. Krążący jak sęp pod palącym słońcem. Czuję jego oddech na mojej spalonej skórze, na moim wyschniętym podniebieniu. Może ja też tu jestem. Kto wie? Ja. Dziwne słowo. Czy to możliwe, że jeszcze przed kilkoma dniami myślałem, że jestem Walterem Rognerem i nikim więcej?

15

2

Nazwisko Walter Rogner cieszyło się w branży nie najgorszą opinią. A jednak zdziwiło mnie, gdy zostałem zaproszony na kongres tłumaczy do Toronto, po tym jak zawsze odmawiałem udziału w podobnych wydarzeniach pod jakimkolwiek pretekstem. Tak naprawdę najlepiej czułem się we własnym mieszkaniu, w jaskini, jaką był mój gabinet, gdzie regały sięgały aż do sufitu, tak że spomiędzy grzbietów książek nie dało się dostrzec nawet najmniejszego fragmentu ściany. Nie miałem nic przeciwko przygodom, o ile rozgrywały się one na kartach powieści. Nie musiałem zarywać nocy w ciasnym samolotowym fotelu tylko po to, by wylądować w kraju, w którym szalała malaria i w którym można było

zostać okradzionym już na lotnisku. W zupełności wystarczała mi świadomość, że umiałem przetłumaczyć podobne historie w taki sposób, aby czytelnik podczas lektury mojego przekładu mógł niemal usłyszeć brzęczenie komarów.

Nie wiedziałem, co dokładnie sprawiło, że tym razem przyjąłem zaproszenie do Toronto. Może to, że Kanada nie była ogarnięta epidemią malarii. Może to, że wydawnictwo, dla którego przetłumaczyłem dwie książki autorstwa Nigela Barleya, zaoferowało mi pokrycie kosztów lotu. Niewykluczone też, że mój apetyt pobudziła autoironia, z jaką Barley przedstawiał swoje badania etnologiczne. W każdym razie spontanicznie zgodziłem się przyjechać, a gdy pojawiły się wątpliwości, zwlekałem z rezygnacją tak długo, że było już za późno.

To, że nie znalazłem paszportu, powinienem był potraktować jako znak. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy korzystałem z niego po raz ostatni – na pewno nie przez minione dwadzieścia lat – a jednak byłem pewien, że przechowywałem go w teczce na dokumenty. Razem z aktem urodzenia, metryką chrztu, świadectwami szkolnymi, dyplomami uniwersyteckimi i innymi bardzo ważnymi dokumentami, które przestają już być potrzebne, gdy się człowiek urządzi. Zniknął nie tylko paszport, ale i cała teczka. Miałem ją ciągle przed oczami: gruba, brązowa, skórzana, przewiązana rzemykiem, ze złożonymi zapięciami i wyłoczoną, także złożonym, napisem „Dokumenty”.

W ciągu dwóch dni przewróciłem całe mieszkanie do góry nogami, wyciągnąłem z regału każdą książkę, opróżniłem wszystkie szuflady w biurku, ale na próżno. Trzeciego dnia udałem się do urzędu meldunkowego, by tam wystawiono mi nowy paszport. Urzędniczka, stukając wciąż w klawiaturę komputera, zapytała:

- Pana nazwisko?
- Rogner, Walter. Urodzony 12.06.1954 roku.
- Czy mógłby pan przeliterować?

Nie miałem pojęcia, jak można byłoby zapisać moje nazwisko inaczej niż R-O-G-N-E-R, ale wyświadczyłem jej tę przysługę.

- Nie mamy pana w bazie – odpowiedziała kobieta.

- Jak to?
- Żaden Walter Rogner nie jest u nas zameldowany.

Odparłem ostrożnie, że to musi być jakaś pomyłka. Przez ostatnie siedemnaście lat mieszkałem i pracowałem w Rosenheim, tylko mój paszport gdzieś zaginął, a że wkrótce wyjeżdżam i z tego powodu go potrzebuję, muszę wyrobić nowy. Przecież jest to możliwe?

- Z taką wymówką mógłby przyjść każdy - odpowiedziała urzędniczka.

Jej twarz była szara. Nosiła modne okulary z wielkimi szklami w ognistoczerwonych, plastikowych oprawkach, których rozpaczliwa wesołość z jakiegoś powodu kazała mi sądzić, że właścicielka marzy o innym życiu. Pokręciłem głowę. Mój pech, że trafiłem akurat na przedstawicielkę biurokracji, dla której ktoś urzędowo uznany za zmarłego musiał być istotnie zmarłym. Nawet jeśli stał przed nią osobiście.

Najwyraźniej sprawiałem wrażenie bezsilnego, bo w nagłym przypływie chęci pomocy zapytała mnie:

- Gdzie pan wcześniej mieszkał?
- W Augsburgu - odparłem. - Od urodzenia.

Urzędniczka odszukała numer tamtejszego urzędu i zadzwoniła. Kiedy czekała na informację, pouczyła mnie, że w Niemczech istnieje obowiązek meldunku. Nie można się tak po prostu wyprowadzić, nie informując o tym właściwych urzędów. Byłem w zasadzie pewien, że zostało to załatwione, ale po upływie siedemnastu lat nie mogłbym przyjąć, że istotnie tak było. Kobieta przycisnęła słuchawkę do ucha ramieniem, powiedziała kilka razy „ach tak” i „aha”, po czym coś zanotowała. Potem zwróciła się do mnie:

- No dobrze, to jednak zupełnie inna sprawa.
- Co takiego?
- To, że wyemigrował pan do Windhoek w Namibii. Przynajmniej wymeldował się pan jak należy w Augsburgu. To było 29.03.1960 roku.

Namibia? Ja? Nawet gdyby to było dwa razy dawniej, mogłbym to wykluczyć w stu procentach. Musiała zająć pomyłka.

– A paszport, który pan zgubił, to z pewnością ten, który przedłużyła panu Ambasada Niemiec w Windhoek 12.03.2000 roku? – zapytała. Podejrzliwie zmierzyła mnie wzrokiem. Nie była pewna, czy jestem tym, za kogo się podaję.

Oczywiście powinienem był zaprzeczyć. Moja bujna wyobraźnia podpowiadała mi jednak, co by się stało, gdybym zarzucił partactwo niemieckim władzom. Nie chciałem żadnych kłopotów. Chciałem tylko dostać paszport. Odpowiedziałem:

– Tak, dokładnie ten.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym od razu?

– Niechętnie o tym rozmawiam – odparłem. – A teraz jestem tu z powrotem.

Przeszło. Przedłożyłem moje prawo jazdy w celu weryfikacji tożsamości i wysłuchałem posłusznie, że powinienem je wymienić na plastikowe. Potem zgłosiłem należycie moją przeprowadzkę do mieszkania, które zajmuję już od siedemnastu lat, złożyłem zdjęcia do paszportu, wypełniłem formularz i bez żadnych kłopotów odebrałem dokument w standardowo wyznaczonym terminie.

A jednak osobliwa scena z urzędu nie dawała mi spokoju. Powoli docierało do mnie, że osoba, która przez siedemnaście lat zajmowała się tłumaczeniami w moim pokoju, oficjalnie nie istniała. Istotnie, nie mogłem sobie przypomnieć, żebym otrzymywał w tym czasie jakąkolwiek urzędową korespondencję, na przykład powiadomienie o wyborach. Wprawdzie i tak nie poszedłbym na głosowanie, ale przynajmniej powinno mi to dać do myślenia.

Walter Rogner wyemigrował do Afryki! I to nie mając o tym pojęcia! Co by się stało, gdybym nie zgłosił utraty paszportu? Czy żyłbym sobie dalej jako biurokratyczny Pan Nikt, aż któregoś dnia umarłbym i mojego ciała pozbyto by się tak, jak się pozbywa niezidentyfikowanych zwłok? Próbowałem sobie wmówić, że nic się nie zmieniło tylko dlatego, że moje nazwisko nie widniało w rejestrze meldunkowym, ale to nie była prawda. Nagle spojrziałem na swoje życie z zupełnie nowej perspektywy.

Z wydawnictwem komunikowałem się tylko za pośrednictwem poczty elektronicznej, poza tym wycofałem się z życia publicznego. Czasem spotykałem się wprawdzie z kilkoma znajomymi – przyjaciele to za dużo powiedziane – poszedłem raz do kina, z widzenia znałem mnie kelner z pizzerii na rogu i kilka pań pracujących w księgarni. Poza tym nic nie wskazywało na to, że tu mieszkałem. W każdym razie nie pozostałem żadnych trwałych śladów i nawet gdybym rzeczywiście był gdzieś indziej przez ostatnie siedemnaście lat, w Rosenheim nikt by tego nie zauważył.

Namibia, niegdysiejszy Południowy Zachód Niemiec¹. Wiedziałem o niej tyle, ile wie przeciętnie wykształcony człowiek. Czyli niezbyt wiele. Następnego dnia udałem się do miejskiej biblioteki i wypożyczyłem książki. Przeczytałem kilka przewodników, dwie powieści o powstaniu wznieconym przez afrykański lud Herero, powieść przygodową autorstwa Giselhera Hoffmanna, kilka pozycji etnologicznych o plemionach San i Himba, coś z zakresu historii i geologii oraz wprowadzenie do fauny i flory namibijskiej pustyni.

Potem przeczesałem Internet w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie. Odnalazłem ją zaskakująco szybko. Jakiś Walter Rogner jest w Namibii powszechnie znany. Ma dom w Windhoek oraz farmę myśliwską i gospodarstwo agroturystyczne w pobliżu przełęczy Gamsberg. Angażuje się w działalność różnych stowarzyszeń, od Rotary aż po klub sportowy Windhoek, pisze też okazjonalnie artykuły w niemieckojęzycznej wersji „Allgemeine Zeitung”. Odkryłem coś nad wyraz interesującego w Laudatio z okazji przyznania mu honorowego senatorstwa przez stowarzyszenie kultywujące tradycje karnawałowe w Windhoek. Mój imiennik podobno też urodził się 12 czerwca 1954 roku w Augsburgu. Dokładnie tak jak ja. Bez wątplenia miałem do czynienia z sobowtórem, który dziesięć tysięcy kilometrów na południe ode mnie żył sobie własnym życiem, tak jakby był jedynym, który rości sobie prawo do noszenia miana Walter Rogner.

1 Namibia była kiedyś niemiecką kolonią, stąd jej nazwa „Deutsch-Südwestafrika” – Południowy Zachód Niemiec (przyp. tłumacza).

W wieczór poprzedzający podróż do Kanady zadzwoniłem do Windhoek. Zapytałem gospodynię, czy mogę porozmawiać z Walterem Rognerem, i bez słowa odłożyłem słuchawkę, kiedy tylko usłyszałem męski głos przedstawiający się moim imieniem i nazwiskiem. Potem odwołałem mój wyjazd do Toronto. Powiedziałem, że nagle się rozchorowałem. Rzeczywiście, pomimo tabletek, od kilku dni dręczył mnie uciążliwy ból głowy. To było ciągle, tępe pulsowanie, które czasami przerażało się w lekkie napady zawrotów głowy.

Następnego ranka pojechałem na lotnisko w Monachium i kupiłem bilet przez Londyn i Johannesburg do Windhoek, ponieważ jedyny bezpośredni lot był już wykupiony. Dwadzieścia jeden godzin później przybyłem do portu lotniczego Hosea Kutako, położonego na obrzeżach stolicy Namibii. Kupiłem plan miasta, wypożyczyłem toyotę corollę za pośrednictwem Avis i pojechałem do domu mojego sobowtóra. Tam powiedziano mi, że Mineer Rogner udał się na farmę. Poprosiłem o numer i zameldowałem się jako Heiner Brauch. Stwierdziłem, że nie wiem, jak długo zostanę, może tydzień, może dwa, albo może nawet dłużej.

Naprawdę nie wiedziałem. Tak samo jak nie wiedziałem, czego właściwie tutaj szukam i jak mam się zachować. Wbrew pozorom ciągle jeszcze nie mogłem uwierzyć, że jakiś obcy człowiek przywłaszczył sobie moją tożsamość. Być może wszystko to okaże się kiepskim żartem, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić ani motywacji, ani tożsamości potencjalnego żartownisia. A może chodziło o dziwny zbieg okoliczności? Zapewne da się wszystko wyjaśnić, a ja będę się zastanawiał, jaki diabeł mnie podkusił, żeby pojechać do dalekiej Afryki tylko dlatego, że ktoś nazywa się tak samo jak ja?

Ruszyłem solidną gruntową drogą numer C26 w kierunku wyżyny Khomas. Minąłem kopalnię miedzi, patrząc na widoczne z daleka obłoki kurzu ciągnące się za nielicznymi pojazdami, które co chwila znikwały w paszczy nizin. Niebo błyszczało stalowym błękitem bez najmniejszej chmurki po horyzont, a powietrze było tak nieskazitelnie czyste, że aż szczypało w oczy. Kiedy dotarłem na miejsce, rzekomego Rognera nie było. Czarnoskóra pracownica udzieliła mi instrukcji. Mój bungalow

leżał jakieś pięćdziesiąt metrów od domu na farmie. Wniosłem do środka bagaż, padłem na łóżko i przespałem czternaście godzin bez przerwy. Dopiero następnego dnia poznałem gospodarza. Był w moim wieku i nawet wyglądał dość podobnie, chociaż nie wyobrażałem sobie, żeby można by nas było ze sobą pomylić.

Jeśli oczekiwałem, że cokolwiek się wydarzy, kiedy stanę z nim twarzą w twarz, to się myliłem. Nie nastąpił żaden punkt kulminacyjny dramatu, nie pojawiło się też banalne rozwiązanie akcji. Jedliśmy śniadanie na werandzie. Przy długim stole siedziała grupa myśliwych i para z Niemiec, odbywająca podróż poślubną. Czarnoskóra obsługa serwowała jajka ze słoniną, podawano sobie sól, rozmawiano, dyskutowano o suszy i wyrażano obawy o los populacji antylopy kudu, gdyż z północy nadciągnęła wścieklizna.

Odzywałem się z rzadka, ograniczając swoją aktywność do subtelnej obserwacji rzekomego Waltera Rognera, by nie przegapić momentu, w którym ten przez jakąś drobnostkę zdradzi swoją prawdziwą tożsamość. Dopiero kiedy po śniadaniu zabrał mnie ze sobą na objazd po farmie, miałem wreszcie okazję wypytać go ostrożnie o przeszłość. Tak, był Niemcem urodzonym w Augsburgu, który przed siedemnastoma laty opuścił ojczyznę.

– To pochodzi z tego samego miasta! – udałem zaskoczenie i drążyłem temat dalej. Twierdził, że tak jak ja ukończył szkołę podstawową przy Hallstraße i gimnazjum imienia Peutingera. Nie zdziwiło mnie nawet, że jakoby mieszkał pod tym samym adresem na Völkstraße, co ja.

Powinienem zażądać od niego wyjaśnień? Nagle ogarnęło mnie przecucie, że igrzm z ogniem. Facet siedzący w samochodzie obok mnie najwyraźniej przywłaszczył sobie nie tylko moje nazwisko, ale też najważniejsze wydarzenia z mojego życia. Musiał przestudiować moją biografię, dokładnie prześwietlić całą moją przeszłość. Czy to możliwe, żeby w jakiś sposób wszedł w posiadanie moich dokumentów? Żeby dostał w swoje ręce mój akt urodzenia i świadectwo dojrzałości, a potem zdecydował na stałe zagnieździć się w moim życiorysie? Ale dlaczego? Dlaczego wybrał właśnie mnie? Moje życie w końcu nie było aż tak interesujące.

Mój sobowtór zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Sięgnął po strzelbę myśliwską leżącą na tylnym siedzeniu. Popatrzyłem na niego z ukosa i spytałem:

– A właściwie dlaczego wyjechał pan z Niemiec, wtedy, siedemnaście lat temu?

– Pssst! – syknął i wskazał dłonią na uschnięte cierniste krzewy nieopodal drogi. Minęła chwila, zanim ujrzałem samca antylopy kudu.

– Strzelał pan już kiedyś? – zapytał cicho fałszywy Walter Rogner. Pokręciłem głową.

– Niech pan trzyma mocno kolbę i popatrzy przez celownik.

– Ja nie jestem zwolennikiem zabijania zwierząt – odparłem, akcentując wyraźnie słowo „ja”. Prawie w tej samej chwili ogarnęła mnie złość na siebie samego, że w ten sposób chciałem uwidocznić różnicę między nami.

– Każdy człowiek ma w sobie coś z myśliwego – odpowiedział. – Mamy to w genach.

– Każdy człowiek jest też choć trochę odpowiedzialny za to, co robi.

Samiec kudu skoczył w górę, wykonał kilka szybkich susów.

– I za to, kim jest – dodałem.

Antylopa zwolniła tempo, biegła truchtem, aż w końcu przystanąła przy najbliższym krzewie. Niecałe sto metrów od nas.

– Kudu nie lubią biegać – powiedział mój sobowtór – a nawet jeśli, to nie biegają daleko.

Wziąłem strzelbę, przyłożyłem do ramienia i popatrzyłem przez celownik. Antylopa miała szeroko rozstawione uszy. W porównaniu z głową wydawały się o wiele za duże.

– Obraz musi być okrągły i klarowny, bez czarnych krawędzi – wyszeptał fałszywy Rogner i odbezpieczył broń. – Teraz wyceluj w gardło zwierzęcia, wydech i pang!

Brzmiało banalnie. Przez lunetę widziałem, jak sierść na piersi antylopy faluje przy oddychaniu. Oczywiście nie strzeliłem. Opuściłem broń.

Z nowym gościem było coś nie tak. Zazwyczaj myśliwi nocowali u mnie tydzień albo dłużej, jeśli byli nastawieni na zdobycie trofeów, koszty nie odgrywały przy tym żadnej roli. Jednak temu tutaj nie chodziło o polowania. Inni turyści zostawali na noc czy dwie, aby następnie wyruszyć w dalszą drogę w kierunku Swakopmund albo Sossuvlei. To było normalne. W tym kraju trzeba być w drodze, poczuć kurz zgrzytający w zębach, zasmakować pustki i otwartych przestrzeni.

Wydawało się, że nowy gość nie był żądny przygód. Pojechaliśmy razem do wodopoju, który kiedyś zaopatrywał w wodę obozy od dziewiętego do dwunastego, zanim dałem sobie spokój z hodowlą bydła i zdemonstrowałem wewnętrzne zagrody. Mogłem mu pokazać, co chciałem, kolonie mrówników, umykające stada antylop, dumne dropie olbrzymie, gniazdo tkaczy tak ogromne, że przyginało swoim ciężarem akację. Z grzeczności rzucał na to okiem, nie zadając ani jednego pytania, kiwał krótko głową, nieobecny, natychmiast wracał do tego, co go naprawdę interesowało: Niemcy, moja przeszłość i moja edukacja w Augsburgu.

To możliwe, że nasze życie toczyło się podobnym torem. No i? Nie znałem tego człowieka, jego imię i nazwisko, Heiner Brauch, nic mi nie mówiło, a wszystko, o czym opowiadał, zostawiłem dawno za sobą. W końcu nie po to wyjechałem do Namibii, żeby wywlekać mgliste wspomnienia z młodości. Równie dobrze mógłbym nigdzie nie wyjeżdżać.

Nie rozumiałem, po co Heiner Brauch to robi. Jak już ktoś wydaje majątek na bilet lotniczy, mógłby przynajmniej pooglądać sobie kraj! Nie pokazałem mu krążących na północy sępów uszaty. W normalnych okolicznościach nie byłbym sobą, gdybym nie sprawdził, na co czatują, jednak tym razem wróciłem do domu i zostawiłem mojego gościa, jak tylko zajechaliśmy na farmę. Była jeszcze masa innych rzeczy do roboty. Wiatrak nad otworem wiertniczym się zepsuł, puścił gwint. Moi ludzie właśnie próbowali prowizorycznie to naprawić, ale ja już widziałem, że nic z tego nie będzie. To jeden z powodów tego, że czarni nigdy do

niczego nie dojdą. Będą tak długo improwizować, aż wszystko zmarnują. Możesz sobie zdzierać gardło, a ci i tak nie rozumieją, że robotę trzeba od początku wykonywać solidnie. Czasem aż rozpacz bierze.

Zadzwoiłem do Windhoek. Mieli potrzebną mi część na składzie. Za dwie godziny będę na miejscu i bez problemu wrócę na kolację. Wyjechałem. Drogę przejechałbym nawet we śnie, wóz praktycznie sam się prowadził. Od czasu do czasu patrzyłem tylko, gdzie jestem, i pogrążony w myślach stwierdzałem, że znowu przejechałem kolejne dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów. Dziwne, ale ten cały Heiner Brauch wciąż chodził mi po głowie. Czegoś ode mnie chciał, nawet jeśli nie wiedziałem, co to może być. Coś z nim było nie tak.

Gdy już miałem część zamienną, zadzwoniłem do Kümmermanna, którego znałem z drużyny fistballa² SK Windhoek. Prowadził tam oddział wypożyczalni aut Avis. Nie zapamiętałem wprawdzie numerów rejestracyjnych, ale to żaden problem dowiedzieć się, kto wypożyczył tam toyotę corollę. To rzeczywiście było proste. W rejestrze nie widniał żaden Heinrich Brauch.

– Ale wiesz, co jest dziwne? – powiedział Kümmermann przez telefon. – Na twoje nazwisko wypożyczono corollę o numerach N 47321. Na nazwisko Walter Rogner. Mam tu potwierdzenie płatności kartą kredytową. Wystawioną w Niemczech. Jest ważna.

Ze zdziwienia nie mogłem wykrztusić słowa. Ktoś o tym samym nazwisku, kto nie chce się z tym zdradzić! Kto, jak widać, przyjechał tutaj w określonym celu, żeby mnie sprawdzić. Musiałem się dowiedzieć, co się za tym kryje.

– Walter? – zapytał Kümmermann.

Nie chciałem go w to mieszać. Powiedziałem tylko:

– No, mam nadzieję, że nie skasuję ci wozu.

Kümmermann zaśmiał się, po czym zapytał z ciekawością:

– Jakiś krewny?

2 Fistball – sport zespołowy, który cieszy się dużą popularnością w krajach niemieckojęzycznych (przyp. tłumacza).

– Masz na myśli kogoś z moich licznych nieznanymi synów z moich wielu byłych małżeństw? – odparłem sarkastycznie. – Nie, czysty przypadek. Widocznie moje nazwisko nie jest tak rzadkie.

– Jak to się życie toczy! – powiedział Kümmermann.

Podziękowałem mu i rozłączyłem się. Oczywiście nie istniało coś takiego jak przypadek. Przynajmniej to wiedziałem doskonale.

Po powrocie na farmę przyłączyłem się do gości na werandzie. Fałszywy Walter Rogner kiwnął mi głową. Był nawet do mnie podobny. Nie wiedziałem, czy ktoś przy stole zauważył, że ciągle się na mnie gapi i chłonie każde moje słowo, jakby chciał wszystko dokładnie zapamiętać. Podobno jest tłumaczem. Nie mogłem sobie wyobrazić równie nudnego zawodu. Ciągle siedzieć przed komputerem, pewnie nocą przy świetle lampki, tylko po to, żeby w innym języku napisać, co ktoś miał na myśli, i z książek robić książki. Przecież to było życie z drugiej ręki! I chyba dlatego miało w sobie coś wampirycznego. Przez moment pomyślałem, że może w Niemczech został wówczas mój cień, który utuczył się przez lata i teraz poczuł się na siłach, żeby pochłonąć swojego stwórcę.

Nonsens, żyłem tutaj, znałem wszystkich i wszystko, zapuściłem korzenie głębiej niż tutejsze drzewa cytrynowe. To było moje krzesło, na którym siedział, moja weranda i moja farma. Przez siedemnaście lat harowałem na niej w pocie czoła. I ciągle haruję. Dzień po dniu. To jest ziemia Waltera Rognera.

4

Przez następne dni towarzyszyłem mojemu gospodarzowi, kiedy tylko było to możliwe. Ponieważ na początku traktował mnie dość chłodno, wstrzymywałem się z pytaniami i unikałem zagadywania go o przeszłość i oczywiście o jego fałszywą tożsamość. Chyba była to dobra strategia, bo stopniowo złagodniał i pozwalał mi uczestniczyć w swoich codziennych obowiązkach. Widziałem, jak przepędzał swoich ludzi, objeżdżał ujęcia

wody, nadzorował dzielenie ustrzelonej antylopy, czyścił zbiorniki, reperował pompę i remontował ogrodzenie. Wydawało się, że ciągle coś się psuje i wymaga naprawy.

Mój sobowtór wydawał polecenia raz swobodnie, raz nerwowo, nie wahał się jednak samemu brać się do roboty, szczególnie gdy któryś z czarnych wykonywał swoje obowiązki – jego zdaniem – niedokładnie czy nieefektywnie. Potem brał go na stronę, demonstrował odpowiednie ruchy, a następnie bez słowa wciskał pracownikowi narzędzie do ręki. Wydawało się, że potrafi wszystko, że zna właściwe rozwiązanie każdego problemu, jaki mógł się pojawić na farmie takiej jak ta.

Szukałem właściwego słowa, które opisywałoby życie, jakie prowadził. Najpierw przyszło mi do głowy „przyziemny”. Przynajmniej trafnie oddawało namacalny, praktyczny aspekt jego egzystencji. Wszystko, co robił, dało się uzasadnić najprostszymi potrzebami i miało bezpośrednie skutki. Problemami, które się liczyły, było: czy wystarczy wody, czy samochód jest sprawny, czy trzeba ustrzelić kolejną antylopę, by zapewnić pracownikom i ich rodzinom tygodniową rację mięsa. Mój sobowtór nigdy nie głowił się, czy jakieś słowo było odpowiednie czy nie. Słowa bierze się w usta, tak samo jak bierze się w dłoń młotek. W jednym celu – aby coś przybić.

Jednakże określenie „przyziemny” nie do końca odzwierciedlało jego naturę, bo miał on w sobie również coś arystokratycznego. Przy tym nie był to styl błękitnokrwistych pieszczoszków a-ę ani anemicznych baronów, oplakujących swoją świetlaną przeszłość. Twardo stąpał po nieurodzajnej ziemi swego liczącego dziesięć tysięcy hektarów imperium. Posiadał tego rodzaju pewność siebie, którą ma się od urodzenia. Tutaj rządził on, bez cienia wątpliwości, a to było – również bez cienia wątpliwości – najlepsze dla niego, dla jego poddanych i dla porządku świata. Czy wywodził się ze szlachty władającej terenami na wschód od Łaby? Czy może jednak przeważała w nim bezpośredniość rodem z proletariatu?

Sam pochodzę z małomiasteczkowej rodziny, brak entuzjazmu wysłałem już z mlekiem matki i zawsze podchodziłem z nieufnością do

mojej skrytej nadziei, że pewnego dnia spotka mnie coś nieoczekiwanego, coś, co zupełnie odmieni moje życie. Przerzuciłem się na słowa, którymi dało się bezpiecznie obracać bez końca, na literaturę i jej historie, w których wszystko mogło się wydarzyć. Uważałem to za właściwy wybór, być może nawet jedyny. Po prostu nie mogłem sobie wyobrazić innej kariery. Takie było moje życie, taki był Walter Rogner.

Pytałem samego siebie, co stałoby się ze mną, gdybym faktycznie przyjechał tu przed siedemnastoma laty. Czy też reperowałbym pompy, strzelał do antylop i rozkazywał czarnym pracownikom? Być może nie dało się tego uniknąć, gdy chciało się zarządzać taką farmą. Ale właśnie o to chodziło. Nie wyjechałem do Namibii i nie kupiłem żadnej farmy. Na taki pomysł Walter Rogner nigdy by nie wpadł. Może moje życie było nudne, ale przynajmniej spójne. Tylko mój sobowtór miał się z czego tłumaczyć w swoim życiorysie. Nie wystarczy po prostu ukraść kilku dat i świadectw. Każdy człowiek posiada w końcu własną osobowość, której nie da się tak łatwo przywłaszczyć.

Rozluźniłem się, znów poczułem grunt pod nogami. Przeszkadzało mi jednak, gdy fałszywy Rogner panoszył się w dziedzinach życia, które uznawałem za swoją domenę. Na przykład gdy wieczorami zaczynał serwować dowcipy. Siadaliśmy razem na werandzie, raz w większym, raz w mniejszym gronie, i to zawsze on wiodł prym, opowiadał anegdoty, w których przeważnie sam odgrywał główną rolę, i które kończyły się tym, jak to ledwo uchodził z życiem.

– Powinien pan napisać książkę. Siedem żyć Waltera Rognera! – zadrwiłem, ale on nie chciał przyjąć ironii do wiadomości.

– Rzeczywiście, mógłbym – odpowiedział i zaczął opowiadać nową historyjkę o kobrze. Podejrzał, że ją przejechał, podczas gdy ona w nienaruszonym stanie zaplątała się w podwozie jego samochodu.

– Z zasady nie zabieram autostopowiczów. – Zaśmiał się krótko.
– Nie żebym się ich bał. Nie znoszę jednak, gdy ktoś ingeruje w moje życie. W każdym razie, krótko po tym przyjeżdżam na farmę, otwieram tylną klapę samochodu i chcę go rozładować, aż tu nagle słyszę syczenie. Zastygam w bezruchu i...

Nie dosłyszałem, czy załatwił kobrę jednym uderzeniem, czy w jakiś inny sposób. W głowie wciąż brzmiały mi jego słowa: „Nie znoszę, gdy ktoś ingeruje w moje życie”. Przy tym nie miał na myśli węża ani autostopowicza. To zdanie było skierowane do mnie i oznaczało, że w jakiś sposób dowiedział się, kim jestem. I nie miał zamiaru łatwo się poddać.

Dalej musiałem działać ostrożnie. Bezpośredni atak nie był dobrym rozwiązaniem. Wykorzysta przewagę rozgrywki na własnym terenie i nadal będzie twierdził, że jest Walterem Rognerem. Jego słabość to punkt zwrotny w życiorysie, rok 1960. Od tego chciałem zacząć.

– Takie anegdoty o kobrach są bardzo przyjemne, ale bardziej interesuje mnie prawdziwe życie – powiedziałem.

– Te bydłaki żyją tutaj naprawdę. Może pan w to wierzyć.

– A jak to się na przykład stało, że pan tutaj przyjechał? – zapytałem. – Dziewięćdziesiąty był przecież dopiero pierwszym rokiem niepodległości Namibii. SWAPO właśnie przejęło władzę, po latach wojny partyzanckiej toczonej przeciwko apartheidowi, potyczkach, masowych aresztowaniach, wypędzeniach, emigracji, po atakach terrorystycznych i południowoafrykańskich akcjach odwetowych z powietrza. Nikt nie wiedział, co będzie dalej, i dosłownie garstka białych nie obawiała się o swój majątek czy życie.

– Niektórzy mieli ku temu wszelkie powody – powiedział.

– Jak można wpaść na pomysł, by w takim okresie przeprowadzić się do takiego kraju? – zapytałem.

– A jak pan myśli, dlaczego stać mnie było na farmę? Wtedy każdy chciał tylko sprzedawać, podczas gdy popyt był zerowy. Coś w sam raz dla łowców okazji.

– Tacy ludzie ryzykowali jednak natychmiastową utratą swojej zdobyczy – odpowiedziałem. – Czytałem, że niektórzy liczący się przywódcy SWAPO żądali natychmiastowego wywłaszczenia farm białych właścicieli.

– Bez odrobiny ryzyka daleko się w życiu nie zajdzie.

Miał rację. Zdecydowałem, że podpytam go jeszcze bardziej.

– Mnie nikt nie mógłby tutaj wtedy zaciągnąć. No, chyba że miałbym nóż na gardle.

Mój sobowtór nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wódki. Nie poczęstował mnie jednak. Popatrzył mi w oczy i zapytał:

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że potrzebowałbym naprawdę dobrego powodu, żeby wyjechać z Niemiec.

– Nawet wtedy nie dałby sobie pan rady. – Roześmiał się.

Nie brzmiało to jednak, jakby żartował. Może trafiłem w samo sedno. Miał coś do ukrycia. Cokolwiek to było, zmusiło go do przywłaszczenia cudzej tożsamości i ucieczki do kraju, w którym panował straszny chaos, w związku z czym jakiegokolwiek śledztwo czy dochodzenie było niemal wykluczone.

Światło na werandzie krótko zamigotało, jednak odległy warkot generatora słychać było niezmiennie przez całą noc. Wąski żółty sierp księżycy pobłyskiwał na tle czarnego nieba. Jeszcze dzień, może dwa i będzie nów. Czy mój sobowtór był groźnym przestępcą, którego poszukiwano w Niemczech od siedemnastu lat? Powinienem być zaniepokojony, a jednak czułem niemal euforię. Wynik rozgrywki w sprawie Waltera Rognera to 1 : 0 dla mnie.

5

Przyznaję, że to nie po dżentelmeńsku włamywać się do pokoju gościa. Ale w przypadku osoby, która wynajmuje pokój pod fałszywym nazwiskiem, próbuje podłożyć gospodarzowi świnię i posługuje się lewymi papierami, wygląda to inaczej. Gdybym nie orientował się, co dzieje się na mojej farmie, mógłbym równie dobrze pakować manatki.

Kiedy tylko wszyscy siedli do śniadania, wślizgnąłem się do bungalowu rzekomego Heintera Braucha i otworzyłem pokojowy sejf zapasowymi kluczami. W środku leżały banknoty, karta Visa, bilet lotniczy

i paszport, nówka sztuka, jakby prosto od fałszerza. Walter Rogner, urodzony 12 czerwca 1954 w Augsburgu. To mógłby być mój paszport, gdyby nie zdjęcie. Przedstawiało jego, nie mnie, nie Waltera Rognera.

Na samym spodzie sejfu leżał gruby skoroszyt. Gdybym znalazł go gdziekolwiek indziej w pokoju, nie zwróciłbym na niego uwagi, a tak zrobiłem się ciekawy. Wyciągnąłem go, z trudem odczytałem podpis „Walter Rogner” na pożółkłej okładce, otworzyłem na pierwszej lepszej stronie i zacząłem czytać:

W.R. w latach 1972 –1983 należał do drużyny sportowej TVA w Augsburgu, oddział piłki ręcznej, w 1976 zdał egzamin na trenera, w rezultacie trenował różne grupy juniorów. Brał udział z drużyną męską w zawodach ligowych landów południowych, jako kontakty rozpoznano: Horsta Becka, Clausa Bösla, Wolfganga Demhartera, Dietera Hofmanna, Floriania Lettla, Klause Wintera, z którymi po okresie aktywnego uczestnictwa w większości – to słowo podkreślono i dopisano obok znak zapytania – utracił kontakt. W.R. później grał w piłkę nożną w drużynie amatorskiej. Czas: niedzielne przedpołudnie. Miejsce: Boisko młodzieżowe w dzielnicy Hochzoll. Luźne znajomości z czasu młodości (patrz: wyżej) wspomniani już Robert Echtler, Stephan Walther, Thomas „Tommy” Frey...

Przerzucałem kartki. I tak szło dalej. Przez wiele stron. Zebrane, uporządkowane zgodnie z tematami informacje o mnie! O moim życiu, o zwyczajach, miejscach i znajomych z czasów, kiedy mieszkałem w Augsburgu. Sam nie wiedziałem, czy pamiętam jeszcze nazwiska kolegów z drużyny piłki ręcznej. Nie, już nie. Wróciłem do tego fragmentu i przeczytałem to jeszcze raz. Dwadzieścia cztery lata temu odszedłem z drużyny. Powoli stawało się dla mnie jasne, że gdyby tak nauczyć się na pamięć wszystkiego ze skoroszytu, można wiedzieć o mnie więcej niż ja sam. Pewnie, że przypominałem sobie różne szczegóły, na przykład jak w zimową niedzielę graliśmy w piłkę w sięgającym kostek śniegu i jak – pierwszy

i jedyny raz – strzeliłem wtedy gola z przewrotki. Tyle że z moich ówczesnych kolegów nikt już o tym nie pamiętał. Nie, liczą się tylko daty i fakty. A mój sobowtór, który nimi dysponował, mógł je również wzbogacić o jakieś własne doświadczenia.

Cokolwiek skłoniło nowego gościa, żeby udawał Waltera Rognera, trzeba przyznać, że piekielnie dobrze się do tego przygotował. Tylko skąd miał te wszystkie informacje?

Wsunąłem skoroszyt pod koszulę, wszystko inne włożyłem z powrotem do sejfu, zamknąłem go i niezauważony wróciłem na farmę. W swoim pokoju chciałem przeczytać od początku do końca, czego mój sobowtór się o mnie dowiedział, jednak dużo się nie naczytałem. Tuż pod okładką wsunięto zapisaną na maszynie kartkę, która wyglądała jak służbowa notatka. W prawym górnym rogu napisane: „Berlin, 16.02.1990”, obok zamazany, postawiony naprędce stempel pieczętki. Nie wierzyłem własnym oczom, gdy czytałem: „Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej, HV A”. Stasi? Śmiechu warte! Po co Stasi miałyby mnie szpiegować? Przeczytałem: „OPK-Operacja Walter Rogner”. Co znaczyło OPK? Potrząsnąłem głową i czytałem pod spodem: „1. Przekazano podpułkownikowi Wegenerowi. 2. Kopii brak. 3. Zniszczenie materiału źródłowego. F.d.R.” – i nieczytelny podpis.

Przekartkowałem skoroszyt. Nagłówek „Rodzina”. Imiona, daty urodzin i śmierci moich dziadków, udział w wojnie, rozwój kariery zawodowej mojego ojca, historia choroby mojej matki. Potem „Wczesne Dzieciństwo”: Przedszkole przy kościele św. Ulryka. I tak dalej. Rzuciłem skoroszyt na łóżko, podszedłem do zakrytego moskitierą okna i wyjrzałem na zewnątrz. Na podwórku Andreas grabił czerwony piasek. Kazałem mu to robić codziennie, żebym mógł rozpoznać po świeżych śladach, czy w pobliżu domu nie zagnieździły się węże.

Stasi? Oczywiście, osoba prywatna nie byłaby w stanie dowiedzieć się o mnie aż tyle. Tajne służby z tysiącem informatorów – a i owszem. Mieli odpowiednie możliwości, wiedzieli, jak się do tego zabrać. Ale początek 1990 roku? NRD wprawdzie jeszcze istniało, jednak o ile sobie

przypominam, Stasi zostało już rozwiązane, centralę zlikwidowano, organizacja załamała się, a ich współpracownicy zaszyli się w swoich mieszkaniach w blokach z betonowej płyty i próbowali zrozumieć, co poszło nie tak. Albo zwiewali, jeśli tkwili po uszy w gównie.

Zrozumiałem. Przekazano podpułkownikowi Wegenerowi. Imię nic mi nie mówiło, ale postawiłbym pół farmy na to, że był w Stasi grubą rybą i że podjął kilka decyzji, o których po 1989 roku nie chciał pamiętać. Typ, który najchętniej rozplynąłby się w powietrzu lub, jeszcze lepiej, został kimś innym. Nieszkodliwym obywatelem Zachodu, dla przykładu.

Wegener pewnie gdzieś się zaszył, wysłał swoich ludzi, którzy z przyzwyczajenia byli mu posłuszni, i kazał im miesiącami szukać odpowiedniej osoby. Mnie, Waltera Rognera, który nie tylko wyglądał jak Wegener, nie tylko był w zbliżonym wieku, ale który także był gotów spalić za sobą wszystkie mosty i wyruszyć do Namibii. Kiedy wyjechałem, zajął moje miejsce i przeprowadził się do miasta, gdzie nikt go nie znał – mój szanowny gość wspominał raz o Rosenheim – gdyby jednak ktoś go podejrzewał, gdyby ktoś przez głupi przypadek rozpoznał w nim Wegenera ze Stasi, wówczas miał w zanadru doskonałą biografię, która pozwalała ukryć jego podejrzaną przeszłość. Biografię, która miała tę zaletę, że była prawdziwa i możliwa do sprawdzenia.

Krzyknąłem na Andreasa, żeby nie zasypiał przy robocie. Kiwnął głową, pomachał mi radośnie i wrócił do powolnego grabienia. Taka była Afryka. Nie było sensu się o to wściekać. Tylko by się człowiek zmęczył. Czasem wydawało mi się, że nie mam wystarczająco dużo siły do tego kontynentu. Może byłoby lepiej dać sobie trochę czasu. Nie napadać na mojego sobowtóra i nie pytać, czy nie mylą mu się wszystkie jego nazwiska. Zapytać, czy był agent Stasi, Wegener, nie ujawnia się czasami w turyście Heinerze Brauchu, pytając go, dlaczego ma wystawiony paszport na nazwisko Walter Rogner. A może to nie był dla niego problem? Może potrafił zmieniać życiorysy jak brudną bieliznę?

Ale kimś musiał się przecież czuć! Przed siedemnastoma laty zrzucił skórę podpułkownika Wegenera i zakopał jego przeszłość. Nie mógł z nikim rozmawiać o swoich występkach. Jego ideałów – o ile je

kiedykolwiek miał – pracodawcy i nawet państwa, któremu kiedyś służył, dawno już nie było. A może nie miał wyboru i zdecydował się na bycie mną, Walterem Rognerem?

Położyłem się na łóżku i przeczytałem „OPK – Operację Walter Rogner” od początku do końca. Dziwne uczucie, widzieć swoje życie z cudzej perspektywy. O kilku datach prawie zapomniałem, ale założyłem, że są poprawne, bo wszystko inne się zgadzało. A jednak moja przeszłość wydawała się obca. Nie dlatego, że wspomnienia wyblakły, nie, nie było tam niczego, o czym warto byłoby opowiadać. Nie bez powodu wypiąłem się na Augsburg i wyjechałem. Przeszkadzało mi jednak, że ktoś bezczelnie wykorzystał moje życie jako swoje własne. Moja historia nie była żadną maską! To by przecież oznaczało, że ja też mogę ją zdjąć. I co by ze mnie zostało?

Andreas wywołał mnie na zewnątrz. Obaj myśliwi z południowej Afryki chcieli wyjechać. Obiecałem im, że zatroszczę się o ich trofea, i pożegnałem się z nimi. Wegener-Rogner-Brauch został jedynym gościem na mojej farmie. Tym lepiej, mieliśmy sobie coś do wyjaśnienia. Siedział na werandzie i obserwował przez lornetkę ptaki na wielkiej akacji.

– Jak się nazywają te z niebieskimi piórami? – zapytał.

– Lamprotornis. Ale to jedynie złudzenie optyczne. Nie są niebieskie.

– Tylko?

– Błyszczą w słońcu. W ich piórach jest pigment, który odbija światło o odpowiedniej długości fali – odparłem.

– Nie wszystko złoto, co się świeci.

– To prawda! – odpowiedziałem i zapytałem: – Właściwie czemu wyjechał pan z Augsburga?

Odłożył lornetkę.

– Ja?

– Z jakiego powodu? – zapytałem.

– Potrzebowałem zmiany otoczenia i przede wszystkim spokoju do pracy. Działo mi na nerwy, jak co pięć minut ktoś dzwonił, żeby koniecznie zaproponować mi spotkanie.

Oczywiście, że mnie okłamywał. Nie winięm go za to. Do pewnego stopnia rozumiałem także, że przez siedemnaście lat pasożytował na moim życiu. Jeżeli ktoś sam nie posiada czegoś, z czego mógłby być dumny, to nie ma innego wyboru. Tak naprawdę drażniło mnie, że wybrał moją osobę tylko dlatego, że sprzyjały temu okoliczności. Nie chodziło mu o to, by stać się Walterem Rognerem, tylko żeby stać się kimkolwiek innym. Obojętnie kim. Ale ja nie byłem kimkolwiek, do cholery!

Nie wiedziałem, czy powinienem mu rzucić prosto w twarz, że jest Wegenerem – agentem Stasi. Mój wzrok spoczął na stojącym pod wiatą wypożyczonym aucie. Jeśli nie uda mi się go zaskoczyć, może się w każdej chwili obrazić i prysnąć. Powiedziałem więc:

– Jutro wcześniej rano wyruszam. Kilkdniowa wyprawa przez pustynię Namib. Pokonywanie wydm terenówką. Noce pod gwiazdami. Zabierze się pan ze mną, panie Brauch?

Byłem po prostu zbyt naiwny, wierząc, że mój gospodarz miał zamiar pokazać mi pustynię. Chciał mnie w ten sposób złamać. Najpierw pędził godzinami przez wyboiste drogi gruntowe, przeprawa przez które powytrząsała mi wszystkie kości i zdolność do myślenia. Przez resztę dnia bujaliśmy się w głębokim piasku, tak że prawie można było dostać choroby morskiej. W samym środku dnia, w największy upał mój nami-bijski sobowtór wyłączył klimatyzację, rzekomo aby nie przeciążać silnika, w rzeczywistości po to, aby zafundować mi udar cieplny. On sam zdawał się znosić takie warunki bezproblemowo, miał coraz lepszy humor, nucił pod nosem „Bracia, do słońca, do wolności” i pytał, czy znam słowa hymnu NRD.

– „Pozwól nam, powstającym z ruin...” – wymamrotałem, ale poza tymi trzema pierwszymi słowami nie byłem w stanie zaśpiewać nic więcej.

– Kopę lat – powiedział.

Dopiero wieczorem zdałem sobie sprawę, że to była aluzja w moją stronę. Rozbiliśmy obóz w cieniu wielkich czerwonych skał. Kiedy słońce na zachodzie chowało się za horyzont, ogień płonął już od dłuższego czasu, a w garnku nad żarem gotowało się potje. Mój sobowtór wyjął z lodówki turystycznej terenówki dwa piwa, wręczył mi jedno i stuknął się ze mną butelką.

– Za stare enerdowskie czasy, panie Wegener!

Spojrzałem na niego, nic nie rozumiejąc. Słuchałem z coraz większym zdziwieniem, jak opowiada niestworzoną historię, w której jako oficer Stasi po 1990 roku stałem się Walterem Rognerem i zająłem miejsce prawdziwego Rognera, który wyemigrował. Jako rzekomy dowód przedstawił mi pięćdziesięciodwustronicowy skoroszyt w twardej oprawie opisujący moją przeszłość z nagłówkiem Kartoteka Operacyjna: „Walter Rogner”.

– Operacyjna Kontrola Osobowa. Tak Stasi oficjalnie nazywało swoich szpicli – wymamrotałem.

– Znalazłem to w pańskich rzeczach!

Skinął głową, jakby wszystko już było jasne. Mogłem go sto razy zapewniać, że nigdy nie widziałem tego skoroszytu. Nie wierzył mi. Zapytał o nazwiska moich kolegów z drużyny siatkówki. Pamiętałem tylko trzy z nich. Śmiał się, powiedział, że zapamiętanie tych wszystkich informacji z pewnością nie było łatwe. Miałem w zanadru przygotowane usprawiedliwienie, chciałem wybuchnąć gniewem, jednak wtedy zauważyłem, że na skale obok mojego sobowtóra leży strzelba. Powstrzymałem się.

Ta kartoteka Stasi nie spadła z nieba, ktoś mi ją podrzucił i nikt inny poza moim sobowtorem nie mógł tego zrobić. Skąd to miał? Zabrał ze sobą z Niemiec w 1990 roku? Może to on był tym Wegenerem – agentem Stasi, który musiał wtedy zniknąć? Innego wytłumaczenia nie było, rzecz jasna. Niedługo po tym, jak wyprowadziłem się do Rosenheim, wymeldował się, korzystając z moich dokumentów i nazwiska w Augsburgu, i wyemigrował. Gdyby ktoś wpadł tutaj na jego trop, byłby w stanie

przedstawić swój kompletny, niebudzący podejrzeń życiorys. A jeśliby coś poszło nie tak, mógł zawsze liczyć na polityczne wsparcie w Namibii. W końcu NRD bezwarunkowo wspierało SWAPO w walkach wyzwolénicznych. Miał prawo żądać odrobiny wsparcia od towarzyszy broni.

Mój sobowtór przykucnął przy ogniu i zdjął żeliwną pokrywkę z potje. Ze stoickim spokojem wyjaśnił mi, że przy przygotowaniu tego typu potrawy chodzi o trzy rzeczy. Po pierwsze potrzeba cierpliwości, po drugie składniki należy dokładać w odpowiedniej kolejności i pod żadnym pozorem nie można ich mieszać, a po trzecie od czasu do czasu trzeba wpuszczać zapach palonego drewna do gotującej się potrawy.

Z trójnożnego kociołka dochodził zapach wołowiny, mieszanki curry, przypalanej fasoli i popiołu. Fałszywy Rogner dorzucił polano, by zwiększyć ogień.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego się zdekonspirował, pokazując mi teczkę. Sam nigdy bym nie odkrył, że pracował dla Stasi. Widocznie kradzież mojej tożsamości mu nie wystarczała. Próbował jeszcze wcisnąć mi swoją. Nie było dwóch Walterów Rognerów. Gdyby ze wszystkich sił chciał stać się mną, ja musiałbym stać się kimś innym. Kto nadawałby się do tego lepiej niż zaginiony towarzysz Wegener?

Spojrzałem na strzelbę. Był uzbrojony, zwił mnie na pustynię, miejsce zapomniane przez Boga i ludzi, daleko od jakiegokolwiek cywilizacji. Nawet jeśli udałoby mi się uciec w nocy, i tak nie miałbym pojęcia, w którą stronę się udać. On natomiast znał teren, wiedział, jak zapewnić sobie przetrwanie w takiej dziczy, krótko mówiąc, czuł się tu pewnie.

A co ja miałem na swoją obronę? Nie znałem się dobrze na niczym prócz słów, ale one na niewiele mogły się zdać. A może jednak? Używając słów, można tworzyć zdania, a z nich historie. Prawdziwe, wymyślone lub takie, których nie można zaszufladkować. Historie, które dezorientują i zbijają z tropu, tak że w końcu słuchacz nie wie, czy je usłyszał, śnił czy przeżył. W końcu zwątpi w to, że jest sobą.

Słońce zniknęło. Szybko zrobiło się ciemno. Na zachodzie nad horyzontem widać było Gwiazdę Wieczorną. Wstałem i wrzuciłem dwa sękaty polana do ognia.

Muszę spróbować zbić go z tropu, robiąc coś, czego najmniej się spodziewa. Przyznam mu rację.

– No dobrze, skoro już pan dotarł do tych informacji, tak, byłem kiedyś Wegenerem. Heiner Wegener, podpułkownik Narodowej Armii Ludowej, kierownik działu Administracji Centralnej Rozpoznania w Ministerstwie do spraw Bezpieczeństwa Państwowego, Berlin-Lichtenberg. Piękne czasy, ale to było dawno temu. Od siedemnastu lat jestem Walterem Rognerem, tłumaczem, mieszkam w Rosenheim. I tak już zostanie. Może pana zainteresuje, że ostatnio byłem w Augsburgu, aby odwiedzić kilku przyjaciół z czasów młodości. Wie pan, jak zareagowali: „Walter, stary, nigdy bym cię nie poznał!”. Trochę powspominaliśmy, odwiedziliśmy kilku wspólnych znajomych tu i tam, rozmawialiśmy o czasach, kiedy ostatnio razem graliśmy w siatkówkę i na nowo staliśmy się nierozłączni, trudno było uwierzyć, że tak długo się nie widzieliśmy.

– Czego chcesz? – zapytał mój sobowtór.

Odstawił butelkę z piwem. Zdawało mi się, czy naprawdę trochę drżały mu dłonie?

– Musi pan zrozumieć – zacząłem. – Każdy augsburczyk przysięgłby, że Walter Rogner to ja. Stałem się nim, ciężko na to pracowałem.

– Dlaczego przyjechał pan do Namibii?

– Z czystej ciekawości – odparłem i nie było to dalekie od prawdy.

– Jest tylko jeden Walter Rogner i jeżeli ja nim jestem, to kim jest pan?

7

Nocą na pustyni można się wyciszyć. Zawsze tak miałem. Nie chodzi o to, że nie ma co tutaj robić. Człowiek szuka odpowiedniego miejsca na obozowisko, oczyszcza je, rozpala ogień, gotuje, je, zabezpiecza zapasy przed szakalami, myje się, używając jak najmniej wody, przeciąga się, patrzy w gwiaździste niebo, słucha odgłosów nocy i zasypia, godzinę czy dwie po nadejściu zmroku. Proste czynności, tak prymitywne jak

krajobraz wokoło. Nie myśli się nawet o tym, co było wczoraj lub będzie jutro, robi się to, co jest do zrobienia, i czuje się, że się żyje. Jeszcze wczoraj powiedziałbym, że na pustyni odnaleźć można drogę do samego siebie, jednak takie stwierdzenie jest dość podejrzane, kiedy obok ciebie przy ogniu siedzi osoba, która uważa, że jest tobą. Myślałem, że wystarczy go tylko zmusić, by przyznał się, że jest dawnym Wegenerem. Udało się, ale nie rozwiązało to niczego. Teraz rościł sobie prawo do dwóch tożsamości i otwarcie mówił, o co mu chodzi. Przez siedemnaście lat udawał w Niemczech Waltera Rognera, zaadaptował się, stał bardziej pewny siebie i czuł się wystarczająco silny, aby wyjść z roli sobowtóra. A teraz odmawiał mi prawa do reszty mojego życia. Ukrał moją przeszłość, aby zapewnić sobie przyszłość. Przyszłość Waltera Rognera.

Spojrzałem w górę. Gwiazdy wyglądały niczym diamenty spowite aksamitną zasłoną nocy. Na niebie jaśniała Droga Mleczna. Wydawało się, że na każdym jej centymetrze kwadratowym migoczą i znikają nieodległe punkty świetlne, jakby wysyłały tajemnicze sygnały. A może to tylko drwina oczu, które popadały w coraz większe zwątpienie, ilekroć mocniej próbowały uchwycić jakiś punkt. Dobrze znane konstelacje tonęły w morzu światła, wszystko to było wymyślonymi liniami, urojonymi konturami, które, poruszone, rozplywały się, ślizgały wzdłuż i wszerz po gładkim niebie.

Przyciągnąłem do siebie mojego mausera 98. Lufa zrobiła się chłodna od nocnego powietrza. Przesunąłem palcami po metalu, dotknąłem przekładni. W życiu niczego nie można być pewnym. Poza tym, że nie dam się z niego wyprzeć. Teraz zrozumiałem, dlaczego mój sobowtór mnie odnalazł. Na tym świecie było miejsce tylko dla jednego Waltera Rognera. On to rozumiał i wyciągnął wnioski. Tak, jak to robi agent Stasi, który nauczył się iść po trupach do celu. Chciał mnie zabić.

Dlatego tak łatwo potwierdził, że jest Wegenerem. Nigdy już nie wydostanę się z Namibii, aby wyjawić komuś prawdę. W najlepszym razie zakopie moje zwłoki w piachu. Nie, zabierze je do Windhoek, pójdzie do ambasady, na policję, wylegitymuje się jako Walter Rogner, pokaże akta Stasi, które rzekomo przy mnie znalazł. Przeprowadzą dochodzenie,

stwierdzą, że Walter Rogner wyemigrował do Namibii dokładnie w tym samym czasie, gdy w Niemczech zniknął agent Stasi – Wegener. Władze będą zadowolone, że w końcu można zamknąć starą, niewyjaśnioną sprawę. Nikt już nie będzie zadawał żadnych pytań. Na moim grobie napiszą Heiner Wegener i wtedy on ostatecznie odniesie zwycięstwo, pozbawiając mnie podwójnie życia.

Ten moment jednak jeszcze nie nadszedł. Zadawałem sobie pytanie, jak chce mnie zabić. Gdyby mnie dostarczył z podejrzanym gardłem, nie wyglądałoby to dobrze. Mógłby się wykręcić, mówiąc, że zrobił to w obronie koniecznej. Może miał zamiar postrzelić się z mojej strzelby po tym, jak mnie załatwi?

Schowałem broń do śpiwora i położyłem się przy dogasającym ognisku. Mój sobowtór kulił się z drugiej strony i mówił. Usprawiedliwiał swoją przeszłość w Stasi głosem, w którym pobrzmiwała pogrożka. On i jego koledzy z wywiadu byli profesjonalistami – skuteczni i bez skrupułów, niewątpliwie najlepsi w Europie, a może nawet i na całym świecie, z wyjątkiem izraelskiego Mosadu. Czy wiedziałem, ilu ludzi prześlizgnęło się do służb RFN i ilu przeszło na drugą stronę?

Nie wiedziałem i mnie to nie interesowało. Zapytałem go, czy już kiedyś zabił człowieka.

– Tak – odpowiedział. – Heintera Wegenera. Musiał zniknąć. Wtedy to była obrona konieczna. On albo ja.

– A czy zabił pan kiedyś kogoś gołymi rękoma?

– A jakie to ma teraz znaczenie? – odparł. – Pan sam powinien wiedzieć najlepiej, w tej cholernej Afryce, gdzie pozwalamy jednej trzeciej ludności zdychać na HIV. Malaria pochłania kolejne setki tysięcy osób, odkąd nie używamy Azotoxu, bo szkodzi środowisku. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile istnień ludzkich mógłby pan uratować, gdyby koszty benzyny tej romantycznej wycieczki po pustyni...

– Niech pan przestanie – przerwałem mu. – Humanitaryzm nie przystoi funkcjonariuszowi Stasi.

– Sądzi pan, że w historii świata tylko zwycięzca ma rację?

- Niech pan uważa na skorpiony! Chętnie wchodzi do ciepłego śpiwora.

W końcu ucichł. Zacząłem się zastanawiać, co zrobić, żeby nie zasnąć. Z południowego zachodu wiała chłodna bryza, wyschnięte trawy szeleściły na wietrze. Gdzieś z oddali dochodził chichot hieny. Gwiazdy pobłyskiwały ostrym światłem na czarnym tle nieba. Minęło trochę czasu, zanim oddech mojego sobowtóra się uspokoił. Gdy zaczął chrapać i ja zamknąłem na chwilę oczy. Chciałem podarować sobie tylko pięć minut.

Kiedy się obudziłem, gwiazdy już pobladyły. Na wschodzie niebo rozjaśniała mdła szarówka. Podniosłem się gwałtownie. Wiatr wirował w popiołach paleniska. Miejsce za nim było puste. Nie było ani śpiwora, ani byłego funkcjonariusza Stasi. Zanim zdążyłem się dobrze rozejrzeć, usłyszałem odpalenie silnika mojej terenówki. Podskoczyłem i zaplątałem się w śpiwór. Zbyt dużo czasu zajęło mi, by stanąć na nogi i chwycić za broń. Zdążyłem oddać jeden strzał, zobaczyłem jeszcze, jak tylna szyba roztrzaskuje się na kawałki, zanim samochód zniknął za skałami.

Pędziłem za nim z bronią w ręku. Wspiąłem się, dysząc, na najwyższą z czerwonych skał i rzuciłem na kamień. Wycelowalem w kierunku chmury kurzu, która ciągnęła się za samochodem. W magazynku mausera były jeszcze dwa naboje. Kaliber 300 Weatherby Magnum. Musiałem tylko trafić Wegenera w cokolwiek, ramię, rękę, a szok po postrzale załatwiłby resztę. Mierzyłem odrobinę wyżej niż punkt, w którym kłąb kurzu był najbardziej gęsty, odbezpieczyłem, załadowałem broń, strzeliłem. Może nawet trafiłem, przedziurawiłem w którymś miejscu karoserię, ale nie udało mi się zatrzymać tego cholernego auta. Kołysząc się na pełnym gazie, pędziło na południe przez piach.

Spokojnie! Przetarłem oczy, odetchnąłem głęboko. Odjechał. Stało się. Rozejrzałem się. Z pustyni, na horyzoncie, wylaniało się słońce, przypominające krwawy guz. Będzie gorąco. Ale nie bardziej niż w poprzednich dniach. Ze skały poderwał się sęp i poszybował ku niebu. Nie dostanie mnie. Wciąż byłem Walterem Rognerem. Powoli wróciłem do obozowiska. Mój śpiwór jeszcze tam leżał, tak jak potje i drewno na opał. Nic poza tym. Żadnych zapasów żywności, żadnej zapalniczki,

żadnej amunicji, żadnego noża, a przede wszystkim ani jednej kropli wody. A więc w taki sposób Wegener chciał mnie wykończyć. Pozwolić mi umrzeć z pragnienia.

Miał spore szanse na wygraną. Nigdzie tutaj nie było wody. Niezależnie od kierunku, w którym bym wyruszył, potrzebowiałem przy najmniej trzech dni marszu, aby dotrzeć do stacji Gobabeb lub innej osady. O ile wcześniej nie zgubię się bez kompasu... Przyglądałem się pustynnym chrząszczom, które uparcie mknęły po piasku, jakby miały wmontowany system GPS. Następnie położyłem bezużyteczną broń obok paleniska, narzuciłem na siebie śpiwór, nasunąłem na głowę kaptur dla ochrony przed słońcem i wyruszyłem. Po śladach kół mojej terenówki.

On wróci! Może za kilka dni, a może jutro, gdy wystraszy się, że zgubił mój trop albo że przepadłem gdzieś bez śladu na pustyni. W końcu potrzebował moich zwłok. Jeśli ich nie pokaże, sprawa Wegenera pozostanie otwarta. Dopóki nie zamknie się wieko trumny, dopóty cień drugiego Waltera Rognera zawsze będzie stał między nim a tym, za kogo się podawał. Potrzebował moich zwłok, więc potrzebował mnie. Na pewno wróci. Dobrze więc, wyjdę mu naprzeciw. Może nie będę jeszcze całkiem martwy, gdy znów się spotkamy.

Przez pierwsze dwie, trzy godziny maszerowałem całkiem sprawnie. W miejscach, gdzie piasek był bardziej zbity, zawsze trzymałem się śladów opon. Kiedy słońce weszło wyżej i pustynia zaczęła trzeszczeć od gorąca, moje kroki stawały się coraz cięższe. Kaptur śpiwora kleił mi się do czoła, a pod nim topniały myśli. Wszystko, co wydawało się być trwałe i solidne, miękło jak rozgrzany wosk. To, że zbudowałem farmę własnymi rękoma, już się nie liczyło. Kogo obchodziło, czy byłem Walterem Rognerem? To, czy miałem jedną, dwie przeszłości, czy może nie miałem żadnej, zupełnie się nie liczyło. Chodziło tylko o to, by stawiać krok za krokiem, iść dalej, nie zwracać uwagi na smak piasku i krwi w ustach.

Nie ustawać, nie zboczyć z drogi wytyczonej przez ślady, nie zastanawiać się, czy są to ślady bieżnika, czy może ogromnego chrząszcza. Krok i potem jeszcze jeden. Do grzbietu wydmy, a później może

chwila odpoczynku. Usiąść na rozżarzonej piasku. Stwierdzić, że to lodowaty śnieg. Wytarzać się w nim, jak to robiłem w dzieciństwie. Dotrzeć do błękitnego cienia na dole, gdzie w cudowny sposób było świeże źródło. Pić. Pić. Pić.

Jeszcze tylko jedna wydma! Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Moje wysokie buty zapadały się w piachu i sprawiały, że za każdym razem obsuwałem się trochę w dół. Piach prószy cicho. Twarz w piasku, papier ścierny w gardle, klepsydry w butach. Ile tygodni już szedłem? Jeszcze jeden krok, kolejny. W końcu byłem na górze. Opadłem na kolana i z powrotem przysiadłem na piętach. Czerwone morze rozciągało się aż po horyzont. Fala piasku za falą piasku, ponad ich grzbietami wiatr rozpylał cienką pianę kurzu.

Ślad przede mną ciągnął się prostą linią wzdłuż wydmy, przez dolinę i ponownie prawie do wierzchołka. Stał tam. Mój samochód. Zabrakło kilku metrów, ale zamiast pozwolić pojazdowi się stoczyć, Wegener naciskał pedał z gazem. Przez to zakopywał samochód coraz bardziej. Z prawej i lewej strony drzwi usypane były całe wały piasku. Wegener musiał szuflować kilka godzin, jednak nie udało mu się odkopać auta. Teraz go miałem! Nawet gdybym musiał wczołgać się na czworakach na następną wydmę, już mi nie umknie. Nie wystarczy tak po prostu ukraść cudzą historię. Trzeba mieć wystarczająco dużo pary, żeby ją wypełnić. Znowu byłem Walterem Rognerem. To był mój kraj, kochałem go, kochałem jego piasek. Jego głęboki, czerwony piach.

Wegener właśnie podkładał wycieraczki pod przednie koła. Prawdopodobnie udałoby mi się podejść jeszcze bliżej niezauważonym, jednak musiałem wykrzyknąć z siebie triumf, który odczuwałem. „Nie nauczyli cię w Stasi jeździć samochodem” – chciałem wrzasnąć, ale wydobyłem z siebie tylko obcy skrzek. Chrząknąłem, odkaslnąłem, przełknąłem ślinę, na ile pozwalało mi wysuszone gardło. Potem wydarłem się na całą dolinę:

– Wegener, to ja!

Naprawdę szedł za mną pieszko. Siedem godzin bez wody przez piekielną pustynię. Byłem pewien, że nie wykorkował tylko dlatego, bo postanowił mnie wcześniej zabić. Chciałem jedynie wyjść z tego cało. Nie skończyć z kulą w plecach, by później powoli zostać zasypanym przez piasek. Tak poza tym, wszystko inne było mi obojętne, byleby tylko ocalić życie.

Niech sobie nawet jeszcze dwudziestu innych twierdzi, że są Walterem Rognerem! Przeklęty samochód!

Uderzyłem w gorącą blachę pokrywy chłodnicy.

Po drugiej stronie zobaczyłem zataczającego się w dół Wegenera. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Upadał i po raz kolejny podnosił się z trudem. Był u kresu wytrzymałości, ale nie zamierzał się poddać. A ja? Intelktualista, tłumacz, bywalec biblioteki. Pustynia to nie mój świat. Nigdy nie nauczyłem się tego, jak radzić sobie z samochodem terenowym. Nawet gdybym miał broń, nie potrafiłbym nikogo zastrzelić. Nikt sam z siebie nie potrafi.

A może to był błąd! Tkwił w jego skórze, niezależnie od tego, co działo się wokół. Bezczyinnie patrzeć, jak spala się w słońcu i jak usycha na wiór. Już wczorajszego wieczora zacząłem wzuwać się w obcą historię. Teraz potrzebny był kolejny krok. Mogłem uratować swoją skórę tylko, jeśli opuściłbym ją na pewien czas. Musiałem przetłumaczyć samego siebie, musiałem stać się taki jak mój sobowtór, musiałem stać się nim, jeśli chciałem żyć. Co Wegener zrobiłby na moim miejscu?

Słońce znajdowało się jeszcze wysoko na niebie. Niemiłosiernie paliło pustynię z góry. No i? Pustynia nie była już moim wrogiem. Nie napawała mnie już strachem, bo ją znałem. Jako Wegener przez siedemnaście lat zgłębiałem ją, badałem i zdobywałem. Nikt i nic mi się nie sprzeciwi. Postawię na swoim, bezlitośnie, w zgodzie z prawem pustyni.

Mój sobowtór był teraz na dnie doliny i chwiał się na nogach. Po raz kolejny upadł. Miałem wystarczająco dużo czasu. Wyjąłem z samochodu plecak, spakowałem chleb, suszone mięso, duży nóż, koc i pięciolitrowy

kanister z wodą. W lodówce turystycznej były jeszcze cztery butelki piwa. Otworzyłem jedno.

– Zdrowie, stary! – krzyknąłem w dół zbocza, wziąłem duży łyk, a resztę wylałem w piasek. Pozostałe butelki rozbiłem o próg samochodu. Potem opróżniłem kanistry, których nie mogłem wziąć ze sobą, i upewniłem się, że mój sobowtór nie zastanie ani jednej kropli wody, jeśli udałoby mu się tu doczołgać.

Nie zostałem sam. Wolna wola, wszechmocna pustynia i woda były moimi sojuszniczkami. Trzy „W” dla Wegenera. Czy to nie zabawne? Zamknąłem samochód i schowałem kluczyki. Potem zarzuciłem plecak i wspiąłem się kilka metrów na grzbiet wydmy. Idąc wzdłuż zbocza, zapuszczałem się w pustynię. To była moja ziemia. Niech mnie goni, jeśli potrafi.

9

Jeszcze go widziałem, kiedy wreszcie dotarłem do samochodu. Wymoczka, który przeprowiał się przez morze piasku. Czy naprawdę wyobrażał sobie, że ma szansę na pustyni? Owinąłem śpiwór wokół ramienia, rozbiłem resztę stłuczonej tylnej szyby, wczółgałem się do samochodu i otworzyłem drzwi od środka. Zostało trochę zapasów jedzenia, ale zanim wezmę cokolwiek do ust, muszę się napić, inaczej nie przełknę ani kęsa.

Opróżnił plastikowe kanistry. Rozciąłem jeden z nich i zliząłem ostatnie krople z wewnętrznej strony. Potem otworzyłem maskę terenówki, odkręciłem pokrywę radiatora i wessałem przy pomocy plastikowej rurki od akumulatora płyn z chłodnicy. Był gorący i słony.

Nigdy nie piłem nic równie wykwintnego. Resztę wlałem do jednego z kanistrów na wodę. Przez plastik dało się zauważyć, że płyn kolorem przypominał pomyje. Nieważne, byle był płynem.

Usiadłem w cieniu samochodu, zjadłem i odpocząłem. Minęło około półtorej godziny, zanim wyruszyłem w drogę. Ślady Wegenera w piasku były widoczne jak pasy na autostradzie. Jeśli nie zdoła zaciemnić rozgwieżdżonego nieba, w nocy także ich nie zgubię.

10

Wieczór, noc, bezksiężycowy chłód. Światło gwiazd pada na zziębniętą skórę. Wydmy biegną teraz równolegle. Długie czarne wały w kierunku południowo-wschodnim. Pomiędzy nimi oszlifowane równiny wapieni, oszczędnie pokryte wyschniętymi kępami trawy. Nie słychać wiatru, żadnych odgłosów zwierząt, szelestów, niczego. Gdy się stanie, ciszę rozdziera krzyk, który dźwięczy w uszach. Przy tej ciszy ludzkość jest czystą iluzją, a sam człowiek nic nieznaczącą pomyłką. Nierzeczywisty odgłos własnych powłóczących kroków. Kierunek marszu – południowy zachód. Czemu południowy zachód? A czemu nie?

Potem przyduszony pisk z boku w mroku. Skałoszczur czy ryjoskoczek, który już nigdy więcej nie zobaczy wschodu słońca? Kilka godzin później odległe chrząkanie mrównika, a gdzie indziej szybko uciekający cień wielkości zająca. Noc ciągnie się mozolnie.

Poranek wypiera zmęczenie ze wszystkich zakątków. Szare jest powietrze, szara jest uschnięta trawa, szary jest piasek. Nawet kula słońca, która podnosi się nad horyzontem, zanim zrzuci cień nocy i oprószy świat złotym światłem, sprawia wrażenie, jakby była zabarwiona lodowatą szarością. Piasek błyszczący, powietrze jest jak szkło, a grzbiety wydm odznaczają się twardą linią. Długie cienie gnieźdzą się za najmniejszymi wzniesieniami. Falisty wzór, którym wiatr pokrył wydmy, sprawia wrażenie wygrawerowanego na stałe.

Piasek stał się cięższy, bardziej zbity. Zwinnie obejmuje kostki, wydaje się, że z każdym krokiem wysysa trochę szpiku. Wspinam się po ukosie. Na grzebieniu wieje lekka bryza, z minuty na minutę coraz

cieplejsza. Słońce już praży. Kiedy spłonie poranny chłód, wiesz, że na pustyni dzień jest twoim wrogiem. Przerwa, łyk wody.

W oddali ostaniec, drżący w migocącym świetle. Poza tym tylko równiny i wydmy, wydmy i równiny. I wędrujący cień. Nie sposób ocenić odległości, nawet jeśli się wie, jak wysoki jest człowiek.

Krótki postój, wyciągnąć nogi na piasku. Drobne czerwone ziarenka kwarcu z czarną domieszką. Po zawietrznej zapisane są historie nocy. Tor usypany przez złotokreta, który rył pod powierzchnią piasku w poszukiwaniu owadów. Pełne elegancji łuki grzechotnika rogatego. Poplątany wzór krzyżujących się śladów chrząszczy, wijów i jaszczurek. Wszystkie w poszukiwaniu pożywienia, wszystkie w drodze po przetrwanie, wszystkie będące jednocześnie ofiarami i myśliwymi.

Koło południa martwa antylopa pośrodku jałowego magicznego kręgu. Po czarno-białym odcisku łba i długich rogach można rozpoznać, że to oryks. Ciało znika pod ściśniętą gromadą ogromnych sępów uszaty. Otworzyły już korpus i wyszarpują wnętrzości mocnymi dziobami. Zachowując należny odstęp, głodny szakal biega tam i z powrotem. Musi uzbroić się w cierpliwość, tak jak dwa skrzeczące kruki srokate.

Nadlatuje kolejny sęp. Trzepocąc skrzydłami, ląduje pośrodku grupy na padlinie. Inne sępy odstępują na moment, aby móc przyjrzeć się nowo przybyłemu. Purpurowa czerwień tysej głowy błyszczą w słońcu niczym świeża krew. Płaty skóry na nagiej szyi rzeczywiście wyglądają jak okropne uszy. Haczykowaty dziób uderza, a gdy szyja zagłębia się we wnętrzu padliny aż po tułów, inne znowu zaczynają się tłoczyć nad nim i obok niego, kłębowisko ciemnych skrzydeł i zaplamionych krwią jasnych szponów, pomiędzy którymi od czasu do czasu jaśnieją mięsne strzępy ich posiłku.

Nic nie zostanie. Nawet szkielet, zajmą się nim hieny i szakale. Co jest martwe, musi zniknąć. I tak wszystko umrze, prędzej czy później.

Nie wiem, ile ma jeszcze wody. Mojej w każdym razie nie wystarczy już na długo. Gardło mam wysuszone, wargi popękane. Muszę wziąć łyk, zwilżyć usta, połykać kroplę za kroplą. Otwieram kanister, ponownie go zakręcam. Już prawie wieczór. Noc jakoś przetrwam, ale upału nie. Będzie mi jutro i pojutrze bezlitośnie dokuczać. Gdybym miał jego wodę, poradziłbym sobie. Może. Jeśli w ogóle ją ma.

Obok niego stoi kanister. Jest z przezroczystego plastiku, ale nie mogę określić, na jakiej wysokości znajduje się linia wody. Raz wydaje mi się, że została tylko niewielka ilość, ledwo przykrywająca dno, za chwilę, że kanister jest pełny do połowy, innym razem, że jest całkiem pusty. Moje oczy płoną. Na pewno nabiegły krwią. Kiedy zamykam je na chwilę, widzę migoczące czerwone iskry. Otwieram je znowu. Muszę go obserwować, jego i jego kanister.

Siadamy naprzeciwko siebie. Na przeciwległych końcach nawisu, który zapewnia cień. Do ostańca dotarliśmy w kilkuminutowym odstępie. Czerwona skała, którą pustynia cierpliwie niszczy. Upał rozpuszcza płyty, rozsadza powierzchnię i szczeliny, w których pracuje wiatr i piasek, aż ważące tony bloki runą. Pomiędzy nimi mieszkają góralki skalne, rozpoznawalne po białej tapecie ich gęstego mocznika. Zwierzęta te mogą miesiącami wytrzymać bez picia, ponieważ ich jelita optymalnie wykorzystują wilgoć z pokarmu.

Wszystko kręci się wokół wody. On jest w takiej samej sytuacji jak ja. Spogląda w moją stronę. Ja spoglądam na niego.

– Daj mi swój kanister!

– Co?

– Jak tylko się ściemni, wyruszę w drogę, będę szedł nocą i jutro przez cały dzień. Tak długo, aż znajdę pomoc. Wrócę po ciebie.

– To jakiś żart?

– Wytrzymasz, jeżeli będziesz cały czas w cieniu. Potrzebuję wody na drogę.

- Dlaczego ty nie dasz mi twojej wody, a ja pójdę?
- Bo nie wrócisz. Pozwolisz mi tu zdechnąć.
- Słowo honoru, że...
- Tak samo szczerze jak to, że jesteś Walterem Rognerem?
- Tak.
- Ale ty nim nie jesteś. Ja nim jestem! Ja, ja!

Nasze głosy brzmią jednakowo skrzecząco i prawdopodobnie wyglądamy łądząco podobnie. Czerwony piasek na ubraniu, jednodniowy zarost, skóra spieczona słońcem, spierzchnięte usta, otępiałe spojrzenie, które coraz bardziej rozmywa obraz. Mój sobowtór wydaje się stapiać ze skalną ścianą. Także kanister robi się szary w wieczornym świetle.

W myślach rozważam, jaki przebieg może mieć noc. Logika podpowiada, że każdy z nas będzie próbował jak najdłużej czuwać, nawet jeśli żaden nie wytrzyma do rana. Aby przewyciężyć jego rezerwę, mógłbym symulować, że zasnąłem. Jeżeli mnie przejrzy, będzie czekał dalej. Mógłbym z tego skorzystać i naprawdę przespać te kilka godzin, żeby być wypoczętym rano, gdy opadną mu powieki. Wtedy zabiorę wodę. Ale może i on tak kalkuluje. Czy lepiej nie spać tak długo, jak się da?

Spoglądam na niego. Cień na nagiej skale. Co zrobisz, fałszywy Walterze Rognerze? Zadaję sobie pytanie, dlaczego w takiej sytuacji obstaje przy tym, że jest mną. Gdy chodzi o przetrwanie. Tak, jakby było mu to obojętne, jakby poza skradzioną tożsamością nie miał nic do stracenia.

Na dworze wieczorna czerwień tańczy nad równiną i sprawia, że wysuszona trawa wygląda jak złote zboże. Nagle przychodzi mi do głowy, że w ogóle go nie ma. Może sam wybrałem się na pustynię i wymyśliłem sobie swojego sobowtóra. Może to, co porusza się przed skalną ścianą, to fatamorgana. Może wcale nie było żadnej kłótni. Może tylko w mojej głowie, w której walczą ze sobą dwa głosy.

Dwie strony mojego własnego ja, które biją się o nazwisko. Czy jestem tym, który nie wie, czy wolałby być właścicielem farmy w Afryce, czy raczej tłumaczem literatury w Niemczech? Któremu jego własna młodość stała się tak obca, że w grę mógłby wchodzić kamuflaż? Który

musi stworzyć funkcjonariusza Stasi, byle tylko nie przyznać przed samym sobą, że chciałby być kimś innym?

Jest bardzo prosty sposób, żeby sprawdzić, czy mój sobowtór naprawdę istnieje. Muszę tylko wstać, podejść do niego i zacisnąć ręce na jego szyi. Śmieje się, jakby wiedział, o czym właśnie pomyślałem. Mówi:

– Woda – żywot, żar – wymarcie, sępom pójdziesz na pożarcie.

Gdyby był człowiekiem z krwi i kości, nie mógłby czytać w myślach. A więc istnieje tylko w mojej wyobraźni. Oprócz mnie nie ma żadnego innego Waltera Rognera. Jeśli opłotę dłońmi jego szyję, rozplynie się w powietrzu. Pozostawi po sobie najwyżej kilka koszmarów, które muszę odpowiednio ulokować. Posprzątam. Wstaję.

– Chodźże! – chrypi. – No chodźże!

Znowu siadam. Lepiej poczekam, aż całkiem się ściemni. Tak dla pewności.

Mam otwarte oczy. Na wschodzie nad pustynią migoczą gwiazdy. Obraz skorpiona ciągnie się przez nocne niebo szerokim łukiem. Wysoko w górze w kierunku południowym wędruje punkt świetlny. Z pewnością samolot w drodze do Kapsztadu. Nie słychać hałasu silnika. Jest cicho. Tylko od czasu do czasu słyszę przemykające po kamieniach łapki. Świst polującego nietoperza. I czasami cichy oddech z przeciwległej ściany skalnej. Ale mogę się mylić. W każdym razie mam otwarte oczy.

Światło samolotu posuwa się tak cicho i niezachwianie, jakby było naturalnym elementem pustynnej nocy. Nagle znika i znowu się pojawia. Z trudem śledzę cień, który je krótkotrwale zakrywa. Wydaje się krążyć na dużej wysokości, jak to robią sępy uszate, aby wypatrzeć padlinę. Jednak w środku nocy nie spotyka się krążących sępów. Może coś go spłoszyło. Czy nie słychać samochodu z napędem na cztery koła,

który usiłuje pokonać wdmę? Czy przez równinę nie ciągnie się światło reflektora? Muszę mieć otwarte oczy.

Sęp obniżył lot. Bez najmniejszego uderzenia skrzydłami prześlizguje się nade mną, przecina krawędź nawisu, wzbija się jakieś dwadzieścia metrów dalej znad kamienia i przesłania gwiazdy. Zatacza wąski łuk, ustawia się w groźnie nachylonej pozycji w powietrzu. Jego lotki są nastroszone na końcach. Każda z nich bada strumień powietrza. Skrzydła ustawiają się w poprzek, jakby zwierzę przygotowywało się do lądowania. Mam otwarte oczy.

Jakieś pięć metrów ode mnie ląduje sęp z nogami wyciągniętymi do przodu, dziko młóćąc skrzydłami, wykonuje dwa celne podskoki, zanim w końcu staje i składa skrzydła. Wyciąga swoją pomarszczoną szyję do przodu, stawia pióra pod kołnierzem i spogląda na mnie. Nie tylko głowa jest czerwona, ale także haczykowany rogowy dziób. Umazany krwią. Sęp podchodzi do mnie, kiwając głową. Starannie stawia nogę za nogą. Jego chwiejny chód przypomina chód starca, któremu zabrano łaskę. Z tą różnicą, że on ma cztery palce uzbrojone w szpony.

Otwiera dziób i zaczyna skrzeczeć, jak wtedy, gdy kłóci się z innym sępami o zdobycz. Skrzeczenie przechodzi w syczenie, z którego stopniowo wyłaniają się dźwięki przypominające ludzkie odgłosy. Wydaje mi się, że rozumiem pojedyncze słowa: Stasi, Augsburg, ja. Stoi teraz nade mną, tak blisko, że mogę dostrzec niebieskawą woskówkę na nasadzie jego dzioba. Gdyby pochylił się do przodu, mógłby wydziobać mi oczy. Mimo to trzymam je otwarte.

Sęp atakuje szybkim ruchem. Ociekający krwią dziób mija mnie, moje oczy, trafia na skałę, o którą roztrzaskuje się niczym szkło. W trzasku rozplývają się głowa i szyja, rozpadają pióra, a ciało wyparowuje jak koszmar, z którego człowiek nagle budzi się w ciemności – obłany potem, z bijącym sercem, wciąż czując zimny dotyk śmierci, mimo że jej widmo już wyblakło.

Otwieram oczy. Gwiazdy świecą po mojej prawej stronie. Nad nawisem skalnym roztacza się najciemniejsza noc. Sęp zniknął i nic po nim nie zostało poza osobliwym dźwiękiem, którego nie potrafię opisać.

Wiem tylko, że tu nie pasuje. To dźwięk, który w ogóle nie powinien istnieć.

Moja ręka szuka kanistra z wodą, który postawiłem przy sobie, i znajduje surową, zimną skałę. Może nieco dalej? Wyczuwam kamień wielkości strusiego jaja. Moje palce wczepiają się w zagłębienia i krawędzie. Słysząc dźwięk przypominający delikatne pluskanie źródła. Albo coś jak bulgotanie, gdy wylewa się wodę z kanistra. On pije. Z mojego kanistra! Moje ostatnie zapasy wody! Podskakuję. Kanciasty kamień jakby przyrósł do mojej dłoni. Uderzam, po raz pierwszy, drugi, trzeci – czuję, jak pękają kości, słyszę krzyk, charczenie, stłumiony upadek, w końcu wypuszczam kamień z dłoni.

Moja dłoń wędruje do przodu, w dół, trafia na lepki kosmyk włosów, cofa się. To nie jest to, czego szukam. Potem dotykam jego ramienia, jego nadgarstka, jeszcze ciepłe. Jego palce wczepiły się w uchwyt kanistra. Muszę je rozluźnić jeden po drugim. Ostrożnie przesuwam dłoń po plastiku, opuszkami palców wyczuwam zwoje na szyjce. Dekiel jest odkręcony. Podnoszę kanister i potrząsam nim delikatnie. Jest w nim jeszcze trochę wody. Przystawiam do ust i piję. Cudownie chłodna ciecz przepływa przez moje gardło.

Wychodzę spod skalnego nawisu. Panuje grobowa cisza. Gwiazdy błyszczą aż po horyzont. Majestatyczna zimna feeria światła, a poniżej czarna pustynia. Chyba wyruszę już teraz. Miałbym ochotę wędrować przez pustynię godzinami i wyobrażać sobie, że ludzkość wyginęła. Że nie ma nikogo oprócz mnie.

13

Sprzedalem farmę z zadowalającym zyskiem. Chwilę trwało, zanim oporałem się z biurokracją, zwłaszcza że nie mogłem się tym zająć osobiście. Ale ostatecznie mój notariusz doprowadził wszystko do końca w Windhoek. Nawet Andreas i moi pozostali współpracownicy otrzymali

zabezpieczenie finansowe, chociaż nie wiem, czy dadzą sobie radę, jeśli od czasu do czasu ktoś nie da im kopniaka.

W Meksyku jest mi dobrze. Na północ od Chetumal kupiłem sobie mały domek bezpośrednio na Wybrzeżu Karaibskim. Skończyłem z polowaniem, ale za to łowię ryby i zbieram morskie ślimaki. Grillowane smakują wybornie. Podziwiam tropikalną roślinność, zachwycam się różnymi odcieniami zieleni, a kiedy nadchodzi ulewa, tak często oczekiwana w Namibii, spaceruję nago po plaży. Są tutaj nawet i sępy, jednak znacznie mniejsze niż te w Afryce. Czasami zostawiam im skrawki mięsa. Potrafię już przywołać sępnika różowogłowego i czarnego.

Prowadzę skromne, spokojne życie. Najlepsze jest to, że mam czas na przemyślenia. Niejeden prawdopodobnie kręciłby nosem na moją amatorską filozofię, ale jest mi to obojętne. W końcu chodzi tylko o mnie i o to, jak radzę sobie z moim własnym życiem. Według mnie zbyt lekko-myślnie podchodzi się do pojęcia „ja”. Tak jakby określało jakieś dobro, które otrzymuje się przy narodzinach i zachowuje przez całe życie. Nic bardziej mylnego. Jeśli dla przykładu porównamy to z piłką nożną, „ja” nie jest ani początkiem, ani wynikiem końcowym, tylko jedynie tymczasowym stanem przejściowym.

Czasami pytają mnie, czy nie mam innych zmartwień. Szczerze mówiąc, nie. Moja sytuacja finansowa jest dobra. Wypowiedziałem mieszkanie w Rosenheim i sprzedałem tam swój majątek. Dzięki Bogu wszystkim zajął się mój przyjaciel z czasów młodości z Augsburga. Tak więc mogłem wieść urocze życie, jeszcze zanim nadeszły pieniądze ze sprzedaży farmy. Poza tym nie wpłynęło jeszcze honorarium za ostatnie tłumaczenie. W wydawnictwie bardzo ubolewali nad tym, że postanowiłem definitywnie skończyć z zawodem i nie przyjmować już więcej zleceń. Połechtало mnie to, chociaż było dla mnie jasne, że prawdopodobnie nie dałbym już rady wykonać przydatnego tłumaczenia. Tak czy owak wielu młodych tłumaczy czeka na swoją szansę. Nie ma ludzi niezastąpionych.

Osobliwe historie zaczęły mnie interesować bardziej niż kiedykolwiek. Ostatnio nawet sam zacząłem pisać i opisałem moje przeżycia

związane ze współpracownikiem Stasi. Nikogo nie powiadomiłem o jego śmierci. Kto nie istniał przez siedemnaście lat, nie potrzebuje pojawiać się nagle w postaci zwłok. Niech sępy robią swoje!

Nie mam do niego żalu o to, że próbował ukraść moje życie. Z jakiegoś powodu prawie go polubiłem. Gdyby był teraz na moim miejscu, prawdopodobnie w podobny sposób opowiedziałby naszą historię. Czasem można prawie oszaleć na punkcie prawdy. Prawie, bo oczywiście jest tylko jeden Walter Rogner. To znaczy ja.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Łukasz Skoneczny

Korekta: Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Bożena Kleszcz

Weryfikacja: Patrycja Pancierz, Ilona Skrzypczak, Anna Twarowska, Michał Gola, Damian Szandecki

Sczytywanie: Ilona Skrzypczak

Sprawdzenie z oryginałem: Tomasz Jastrzębski

NOC NAD UNNĄ

Tłum. Dorota Sulej

Słowa z trudem odnajdywały drogę do siebie. Ksiądz Nicolai wypowiadał je na głos w kółko, aż wreszcie wybrzmiały harmonijnie i zagłuszyły okropności dnia. Rzęzenie umierających, bicie dzwonów pogrzebowych, stukot wozów zaprzężonych w woły i wywożących ciała na błonia. Do tego jego własny kondolencyjny bełkot, zagłuszony rozpaczliwym lamentem wdowy Schwartz, której zaraza odebrała czwarte dziecko.

Teraz jednak, grubo po północy, na ulicach panowała cisza, a Nicolai odzyskał spokój dzięki słowom, które znalazł z Bożą pomocą. Przebiegł wzrokiem po liniijkach oświetlonych łojową lampką, ponownie zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i pod ostatnią strofą chorału napisał: „Unna, roku Pańskiego 1597”. Płomień zadrżał pod wpływem ruchu jego ramienia. Nicolai się uśmiechnął. Był pewien, że światło Pana nie zgaśnie nigdy, w niedoli dobie, w śmierci ani chorobie. On także nie wiedział, dlaczego Bóg pozwala, by mieszkańcy Unny ginęli jak muchy. Znajdował jednak pocieszenie: wiedział, że po opuszczeniu ziemskiego padółu łez dusze dostępują zbawienia. Nicolai wstał i zdmuchnął płomień. Mimo że ciemność rozlała się wokół niego, on nie bał się śmierci. Ostrożnie, po omacku, dotarł do drzwi, wyszedł na zewnątrz i ruszył w kierunku placu kościelnego. Zerwał się rzeński wiatr. Przepędził z uliczek wyziewy dżumy i otarł niebo z chmur. Nad Nicolaiem rozpostarła się okazała i wyniosła kopuła gwiazd.

Nagle obudziła się w nim napisana przed momentem pieśń, domagając się dźwięków i tonów. Z początku nucił ją pod nosem, lecz po chwili słowa same zaczęły cisnąć mu się na usta, jedno po drugim. Buntowały się przeciwko cichemu umieraniu w ciemnych domach

i chatkach, przewyciężały śmierć i gdy na wschodzie, tuż nad dachami, Nicolai zauważył gwiazdę świecącą jaśniej od pozostałych, zaśpiewał na całe gardło:

– Jak pięknie świeci Jutrzenka z rana, pełna łaski i prawdy od Pana...

– No i? – zapytał nadkomisarz Henze. Wskazał na rozgwieżdżone niebo.

– Młoda kobieta z małym dzieckiem – odpowiedziała komisarz Silvia Frieling.

– Fanatyczna obrończyni środowiska?

– Obrończyni czego? – spytała Frieling.

– Kto oprócz tych pomyleńców z Greenpeace’u wpadłby na pomysł, żeby przykuć się do szczytu komina?

– Nie wiemy, czy sama się przykuła.

– A może załatwi pani jakiś reflektor? – zaproponował Henze.

Ziewnął. To przez zmęczenie. I przez to, że jego praca nieraz działała mu na nerwy.

– Już to zrobiliśmy – odrzekła. – Ale zaraz potem musieliśmy go wyłączyć.

– Bo nie pasował do waszej estetyki? – Mężczyzna niechętnie powiódł wzrokiem po neonowych liczbach, w które artysta Mario Merz wyposażył komin dawnego browaru Lindenbrauerei: 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, aż do 987.

– Bo kobieta groziła, że zrzuci dziecko – powiedziała Frieling.

– Swoje własne dziecko? – Henze spojrział w górę. W świetle neonu niewyraźnie rysowała się sylwetka kobiety siedzącej na górnej krawędzi komina, która zdawała się delikatnie kołysać w przód i w tył. Zawiniątko na jej kolanach mogło być dzieckiem. Albo i nie.

- Komin ma pięćdziesiąt dwa metry wysokości – powiedziała Frieling. – I u dołu jest częściowo obudowany. Jest tam kotłownia i coś tam jeszcze. Nie uda się zabezpieczyć upadku płachtą ratowniczą.

- Czego ona chce? – zapytał.

Frieling zawahała się. Po chwili odrzekła:

- Chce, żeby znowu była noc.

- Ach tak? – odpowiedział Henze.

On również wolałby, żeby znowu była noc. Jego noc w jego łóżku, jego sen z jego własnymi, najzwyczajniejszymi koszmarami, w których musiał uciekać przed bezimiennym niebezpieczeństwem, nie mogąc przy tym ruszyć się z miejsca. Wymachiwał rękami i wierzgał, aż w końcu budził się zlany potem, zdezorientowany, w panice. Z jakichś niezrozumiałych powodów uspokajał się dopiero wtedy, gdy odczytywał podświetlane cyfry budzika. Jakby to miało jakieś znaczenie, że pokazuje godzinę trzecią dwanaście lub czwartą trzydzieści jeden.

- Żąda, by w całej Unnie wyłączono światło – sprecyzowała Frieling. – Na przedmieściach, w Massen i Königsborn, w Hemmerde, Lünern i Kessebüren, wszędzie. Nie chce widzieć latarni ulicznych, neonowych reklam, iluminacji kościoła i fosy, żadnych świateł w domach, nawet migotania telewizorów czy reflektorów na autostradach. Chce całkowitej ciemności. I daje nam na to trzy godziny – Frieling spojrzała na zegarek – co znaczy, że mamy dokładnie dwie godziny i trzydzieści pięć minut.

- Zaciemnienie jak podczas bombardowania, to wszystko? – spytał Henze. – I wtedy zejdzie?

- Przynajmniej oszczędzi dziecko.

Sygnaly świetlne radiowozów migotały na Massener Straße. Knajpa Schalander opustoszała. Większość jej klientów wmieszała się w tłum gapiów, tłoczących się za barierkami pomimo późnej pory. Dwaj policjanci odebrali protestującemu staruszkowi latarkę, którą świecił w stronę wariatki. Henze wpatrywał się w neonowe cyfry na zaokrągleniu komina. Przeszkadzało mu, że te same cyfry nie mają identycznego kształtu. Jakby jakiś olbrzym nabazgrał je na kominie niechlujnym

pismem. Ale sztuka ma swoje prawa! Henze wołał świat, którego symbol stanowił jego elektroniczny budzik. Świat, w którym o piętej pięćdziesiąt pięć trzy identyczne cyfry zapewniały go, że miał tylko zły sen i że znowu jest sobą.

– Chcę wiedzieć, kim ona jest – powiedział. – Chcę znać jej imię, twarz i historię.

– Ona musi być stąd – odrzekła Frieling. – Inaczej nie byłaby w stanie wymienić dzielnic Unny.

– Dziecko też nie spadło jej tak po prostu z nieba. – Nadkomisarz w połowie zdania uświadomił sobie, jak niefortunnie zabrzmiały jego słowa w obliczu groźby kobiety. Szybko dodał: – Chcę dostać listę wszystkich urodzonych w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Żona Müllera pracuje chyba w urzędzie stanu cywilnego? Niech on się tym zajmie.

Frieling przekazała polecenie. Jeden z policjantów odpowiedział szeptem, że mikrofon kierunkowy jest gotowy do użycia.

– No to posłuchajmy – zdecydował Henze. Upewnił się, że zapis jest włączony, po czym założył słuchawki.

Kobieta miała zaskakująco niski głos. Nic nie mówiła, tylko śpiewała monotonna:

– ...tata karmi jagniątko, matki domem jest Pomorze, lecz ta ziemia dziś już gorze, śpij, śpij, dzieciątko!

Henze podał słuchawki Frieling i zlecił technikowi sporządzenie kilkunastu kopii nagrania w trybie ekspresowym.

– Najpóźniej za pół godziny każdy mieszkaniec Unny musi usłyszeć ten głos. Panowie służą pomocą.

Henze wskazał na funkcjonariuszy, którzy wysiedli z radiowozu i stanęli przy wejściu do ZIB³. Następnie spojrzął w stronę komina. Kobieta wciąż kołysała się w przód i w tył. Wciąż ten sam ruch, jakby była częścią instalacji świetlnej. Henze skupił wzrok na neonowej liczbie u samej góry. 987. Dziewiątka wydawała się nieco za długa i trochę obsunięta. Dlaczego właśnie 987?

3 ZIB – (niem. Zentrum für Information und Bildung) Centrum Kształcenia i Informacji (przyp. tłumacza).

– Czasami zmienia słowa: płacz, płacz, dzieciątko, tata karmi prosiątko... – powiedziała Frieling, zdejmując słuchawki. Spojrzała na zegarek. – Jeszcze dwie godziny i dziewiętnaście minut. Może powinniśmy zacząć przygotowania do zaciemnienia?

– Jeszcze czekamy – odrzekł Henze.

Nie wiedział, na co powinni czekać. Aż tamta kobieta zejdzie na dół i powie, że to był tylko żart?

– Może powinniśmy jeszcze raz spróbować... – Frieling przerwała, gdy podszedł policjant z patrolu i powiedział:

– Nie wiem, jak się nazywa, ale głos może należeć do kobiety, którą raz czy dwa razy kontrolowałem. Jeżeli to ona, to na pewno zadawała się z tymi ćpunami przy wałach.

– Niech pan weźmie ze sobą paru ludzi i zgarnijcie każdego, kogo tam znajdziecie!

Policjant natychmiast się oddalił. Zaletę Unny stanowiło to, że wszystko miało tu swój porządek. Nawet to, co nie chciało się podporządkować. Można było mieć pewność, że w ogrodzie miejskim wzdłuż dawnych wałów spotka się grupy osób sprawiających problemy w mieście, każdą na innym terenie. Na ławkach wzdłuż Güldener Trog zbierały się gangi młodocianych Rosjan, do pomnika Chwały sięgała strefa ćpunów i pijaków, a dalej przebywało młode pokolenie alkoholików skorych do awantur.

Minęło dokładnie dziesięć minut, a do jednej z sal ZIB nadkomisarzowi przyprowadzono czterech mężczyzn w podartych ubraniach, i kolejne trzy minuty, zanim zdążył uświadomić im, że lepiej będzie, jeśli zaczną gadać. Funkcję rzecznika grupy przejął łysy gość z głęboko zapadniętymi policzkami.

To przecież ta Natasza, tego głosu nigdy nie zapomni, świetna dziewczyna, pan posterunkowy może być pewien. Nie, nie zna jej nazwiska, one, za przeproszeniem, gównie obchodzą jego i pozostałych. A Natasza i tak była tu krótko, zeszłej jesieni, miała wtedy duży brzuch, ale z dzieckiem nigdy nie przyszła, może to i lepiej. Nie, nie miał pojęcia,

czy miała gdzie się zatrzymać, wcześniej pewnie miała, tak przypuszcza, wyglądała, jakby zarabiała całkiem niezłą kasę.

– Wcześniej? – zapytał Henze.

– No, zanim ktoś zrobił jej bachora. Z dużym brzuchem nie miała już klientów – odrzekł łysy.

– Mogłaby mieć – powiedział inny. – Ale już nie chciała.

Henze zapytał, gdzie uprawiała prostytucję, lecz tego mężczyźni nie wiedzieli. Można było jednak założyć, że Natasza znana jest w obyczajówce, w Urzędzie do spraw Nieletnich lub w Wydziale Prewencji. Nadkomisarz nakazał sprowadzić odpowiedzialnych urzędników. Jeszcze godzina i pięćdziesiąt minut. Na kominie świeciły niebieskie, neonowe cyfry. Pomiędzy liczbą 987 a ciemnym, nocnym niebem kobieta kołysała swoje dziecko do snu. Nie było widać ani jednej gwiazdy, a niebo właściwie nie było czarne, tylko ciemnoszare, matowe, jakby nadgryzione światłami miasta. Henze postanowił zaryzykować. Dał znak technikowi z mikrofonem i krzyknął w górę:

– Nataszo!

Przeczytał liczby 377, 610, 987. Krzyknął ponownie:

– Nataszo, przecież nie możemy zablokować czterech autostrad! Proszę dać nam... – Przerwał nie tylko dlatego, że gapie za barierkami zaczęli szeptać. Nie można, krzycząc, negocjować z wariatką, która siedzi na pięćdziesięciodwumetrowym kominie.

– Zareagowała na imię. Teraz zamiast śpiewać, mamrocze: cichutko, mój mały, cichutko! – powiedział technik.

Henze pokiwał głową. Spojrzał w górę.

– Liczby na kominie – powiedział. – Każda jest sumą dwóch poprzednich.

– Ciąg Fibonacciego. Progresja liczb opisująca zasadę wzrostu i ewolucji.

– Skąd pani to wie?

– Kiedyś... – Frieling zamilkła, gdy zadzwoniła komórka Henzego.

Müller sporządził listę urodzeń i kazał sprawdzić każdy wpis. Zostało pięć matek, z którymi nie udało się skontaktować. Wprawdzie

żadna nie nazywała się Natasza, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Każda prostytutka wymyśla sobie fałszywe imię. Henze był w trakcie rozmowy, gdy Frieling przyprowadziła mu kobietę w wieku około czterdziestu lat. Spod jej lekkiego płaszcza wystawały spodnie od piżamy.

– Pani Rastenau z Wydziału do spraw Nieletnich – wyjaśniła. – Mieszka niedaleko, przy uliczce obok wału klasztornego. Ma coś dla nas.

– Panie Müller, proszę się nie rozłączać – powiedział Henze do telefonu.

– Obecnie zajmuję się sprawą o odebranie praw rodzicielskich – oświadczyła pani Rastenau. – Dziecko nie może być przecież wychowywane przez uzależnioną od narkotyków prostytutkę. Dziecko musi...

– Jak nazywa się matka?

– Daniela Trochowski – odpowiedziała pani Rastenau.

– Chwileczkę! – Henze zapytał przez telefon, czy na liście jest kobieta o tym nazwisku.

– Tak? Zbierajcie się wszyscy! Spróbujcie wejść do środka i prze-maglujcie sąsiadów!

Mieli nazwisko, mieli adres, a od pani Rastenau usłyszeli przynajmniej część historii.

Danieli Trochowski nie był obojętny los jej dziecka. Wręcz przeciwnie, chciała je koniecznie zatrzymać, przysięgała, że zrobi wszystko dla małego Marca, jej oczka w głowie, i naprawdę miała taki zamiar, jednak nie dała rady. Sąsiedzi godzinami musieli słuchać rozpaczliwego krzyku dziecka, gdy matka wychodziła załatwić sobie towar lub gdy do mieszkania przychodzili mężczyźni, za każdym razem inni. Wobec urzędników zachowywała się w sposób nieobliczalny; kiedy była na odwyku, stawała się brutalna lub wyła, leżąc w kącie pokoju. Z medycznego punktu widzenia oznaki zaniedbania występujące u małego Marca nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia życia, jednak to wystarczyło, żeby złożyć do sądu wnioski o odebranie praw rodzicielskich. Decyzja została wysłana dziesięć dni temu i od tamtej pory nie można było znaleźć ani matki, ani dziecka.

Aż do momentu, gdy kobieta pojawiła się na kominie Lindenbrauerei i zaczęła wrzeszczeć, że całą Unnę i okolice musi spowić całkowita ciemność. Henze pytał samego siebie, dlaczego nie domagała się uchylenia tej decyzji. Zwrócił się do technika z mikrofonem:

– Czy wciąż mówi coś do małego?

Technik pokiwał głową i odpowiedział:

– Jedzie, jedzie pan, pan, na koniku sam, sam, gdy do rowu wpada...

– Znam ten tekst – powiedział Henze.

– Można oszaleć – odrzekł technik. – W kółko ta sama idiotyczna rymowanka. Do tego za każdym razem, gdy dochodzi do momentu, w którym jeździec robi „plum”, zaciskam mocno powieki, ale to nic nie pomaga, bo widzę spadające dziecko. To musi być jakaś halucynacja. Potem otwieram oczy, a ona zaczyna od nowa: Jedzie, jedzie pan... i jeszcze raz ta sama głupia zabawa. Wiem, że to trwa dopiero kilka minut, ale mam wrażenie, że ciągnie się od tygodni i...

– Niech ktoś cię zastąpi, człowieku! – polecił Henze.

– Jeszcze godzina i osiemnaście minut – odrzekła Frieling. – Spróbuję dodzwonić się do kogoś z zakładów komunalnych. Powinni być w gotowości.

– Ona nie zabije własnego dziecka – rzekł Henze.

– Każę przygotować blokadę ulic – stwierdziła Frieling. – Tak na wszelki wypadek.

Komórka Henzego odezwała się ponownie. Dzwonił Müller.

– Właścicielka domu, pani Reitz, właśnie otwiera nam mieszkanie. Sama nie chce wejść do środka, bo Daniela Trochowski ma AIDS.

– AIDS? – Henze dał dłonią znak Frieling. Kobieta z Wydziału do spraw Nieletnich stała z tyłu pomieszczenia, gapiąc się w podłogę.

– Gdy dziesięć dni temu ta Trochowski zniknęła wraz z dzieckiem, pani Reitz natychmiast wezwała ślusarza, by wymienić zamki w drzwiach – powiedział Müller.

W słuchawce słychać było protesty pani Reitz. W końcu sama wzięła telefon do ręki.

– Proszę posłuchać, panie komisarzu, nie jestem potworem, ale aż tyle pieniędzy to ja nie mam. Przez nią wyprowadził mi się porządny najemca, a sama pani Trochowski od trzech miesięcy nie zapłaciła ani centa za czynsz. Powiedziałam jej: „Proszę pójść do opieki społecznej, samotna matka z dzieckiem na pewno otrzyma tam wsparcie, musi pani tylko złożyć wniosek”. Ale ona nie chciała...

Wróciła Frieling.

– Nie ma AIDS – powiedziała szeptem. – Przynajmniej Wydział do spraw Nieletnich nic o tym nie wie.

– ...powiedziała, że da sobie radę – ciągnęła pani Reitz. – Zawsze dawała sobie radę sama, pieniądze też miała oddać mi co do centa. Ale nie oddała.

Ponownie odezwał się Müller:

– Jeszcze nie skończyliśmy przeszukiwać mieszkania, ale na tablicy korkowej wisi numer jakiegoś Maxa Trochowskiego. Musi być gdzieś w Bawarii.

Henze natychmiast wybrał podyktowany numer. Spojrzał na zegarek. Było późno. Mieli jeszcze pięćdziesiąt siedem minut. W końcu odezwał się zaspany, męski głos. Henze przedstawił się i zapytał męczyczynę, czy jest spokrewniony z Danielą Trochowski z Unny.

– Jestem jej ojcem. Czy coś się stało?

Henze się zawahał. Potem powiedział:

– Pańska córka zabarykadowała się i grozi, że zabije swoje dziecko.

W słuchawce zapanowała cisza.

– Panie Trochowski?

– To chyba jakiś żart – powiedział Trochowski.

– Niestety nie. Daniela grozi, że zabije swojego syna.

– Swojego syna? – zapytał Trochowski.

„Zabije?” – powinien był zapytać.

– Nie wiedział pan, że sześć miesięcy temu Daniela została matką? – dopytywał z niedowierzaniem Henze.

– Zaraz przyjadę – odparł Trochowski. – Proszę mi powiedzieć gdzie...

– Nie wiedział pan?

– Prawie nie mieliśmy ze sobą kontaktu – odrzekł powoli Trochowski. – Zwłaszcza przez ostatnie trzy lata, odkąd ponownie się ożeniłem. Powiedziałem Danieli, że zawsze może na mnie liczyć. Wystarczy, że zadzwoni. Nawet w środku nocy. Ale ona zawsze wołała radzić sobie sama... – Przerwał, po czym powiedział: – Proszę pozwolić mi z nią porozmawiać!

– Nie możemy się do niej dostać – wyjaśnił Henze.

– Już jadę – oznajmił Trochowski.

„Za późno. Trzeba było to zrobić lata temu” – powinien odpowiedzieć Henze. Zamiast tego powiedział:

– Proszę przyjechać, panie Trochowski.

Tłum gapiów na Massener Straße nie zmniejszył się ani trochę. Z oświetlonego mieszkania na pierwszym piętrze wyglądała przez okno starsza kobieta. Jej głowa rzucała cień na chodnik przed barierkami ustawionymi przez policję. Technik przy mikrofonie kierunkowym jednak nie poprosił o zastępstwo. Henze zwrócił się do niego:

– Wciąż coś mówi?

– Bez przerwy. Wyliczanki, kołysanki – powiedział technik. – Zastanawia mnie jednak, co się dzieje z dzieckiem. Od kilku godzin chłópiec nawet nie pisnął.

– Może śpi – powiedziała Frieling.

Technik pokręcił głową.

– Sam mam dwójkę małych dzieci. Człowiek cieszy się, kiedy wieczorem ma wreszcie spokój. Opowiadasz im bajkę albo śpiewasz kołysankę, a gdy wreszcie zasną, nie śpiewasz przez kolejne dwie godziny.

Frieling spojrzała na Henzega, a on podniósł wzrok na komin.

– Ona nie ma tam na górze żadnego dziecka. Tylko udaje – powiedział technik.

Jeżeli to prawda, gdzie w takim razie było dziecko? Henze wyjął z kieszeni komórkę, by jeszcze raz zadzwonić do Müllera, gdy ktoś z tyłu

dotknął jego ramienia. Był to emeryt w zielonym kapeluszu, przypro-
wadzony przez jednego z policjantów.

– Rozpoznałem głos – powiedział mężczyzna poważnym tonem.

Frieling uświadomiła sobie ze złością, że zapomniała odwołać
identyfikację. Powiedziała:

– Dziękuję, ale już wiemy...

– Jestem pewien na sto procent. – Emeryt jej przerwał. Nie
wydawał się skłonny do rezygnacji ze swoich pięciu minut. – Zaledwie
wczoraj widziałem tę kobietę na cmentarzu Zachodnim...

– Kiedy? – spytał Henze.

– Cmentarz Zachodni jest dokładnie sto metrów stąd – powie-
działa Frieling.

– Nie pan mówi! – powiedział Henze do staruszka.

Nazywał się Egon Kuballa i należał do grupy obywateli, którzy
nieodpłatnie pełnili funkcję dozorców cmentarza. Właśnie dlatego
wczoraj wieczorem Kuballa wypatrzył Danielę Trochowski, gdy rozkła-
dała swój śpiwór za nagrobkiem. Oczywiście nie wolno tam urządzać
kempingów, jednak kobieta wydawała się tak zagubiona, że on, Kuballa,
postanowił przymknąć na to oko i pozwolił jej przenocować.

– A dziecko? – spytała Frieling.

– Była sama – powiedział Kuballa. – Nie widziałem żadnego
dziecka.

– O czym pan z nią rozmawiał? – zapytał Henze.

– O niczym szczególnym, była dość zdezorientowana. Na
początku określiła cmentarz jako niesamowicie spokojny, a chwilę
później jako ponury i przerażający. Chciała wiedzieć, kto został pocho-
wany w tych wszystkich grobach, więc opowiedziałem jej kilka historii
rodziny. Powiedziałem też, że chowamy tu szczątki, które zostały
wykopane na terenie miasta. Każdy taki pogrzeb jest ekumeniczny:
obecny jest i katolicki, i protestancki ksiądz. W końcu nigdy nie wiadomo,
jakiego wyznania był zmarły.

– A kobieta? Co powiedziała?

– Niewiele. Ale pamiętam jedno pytanie, które nie daje mi spokoju. Czy wierzę, że żałoba może zbawić duszę. Powiedziałem, że być może, ale o to lepiej zapytać księdza.

Henze i Frieling nie potrzebowali słów, żeby się porozumieć. Ucieczka Daniela Trochowski na cmentarz, jej dezorientacja, myśl o żałobie i zbawieniu, nieobecność dziecka – wszystko wskazywało na to, że chłopiec nie żyje.

– Znowu śpiewa – powiedział technik. Powtarzał głuchym głosem słowa:

– Jak pięknie świeci Jutrzenka z rana, pełna łaski i prawdy od Pana...

– Chorał Philippa Nicolaia – rozpoznała Frieling.

– Dziś o siódmej rano przyszedłem jeszcze raz – powiedział Kuballa. – Ale już jej nie było. Tylko śpiwór wciąż leżał za nagrobkiem. Byłem zły, że jej nie przepędziłem, bo ewidentnie kopała w ziemi. Taka profanacja grobu!

– Nie – wyszeptała Frieling.

Henze zatęsknił za koszmarem, z którego można się obudzić. Przywołał gestem kilku funkcjonariuszy i wysłał ich na cmentarz Zachodni, aby przeszukali grób wskazany przez Kuballę.

Mają kopać, nawet paznokciami, jak będzie trzeba, dopóki nie znajdą zwłok dziecka.

– Przecież nie zamordowała własnego dziecka. – Frieling przejechała dłonią po twarzy.

– Dlaczego w takim razie potajemnie zakopała ciało? – spytał Henze.

Latarnie na Massener Straße świeciły na żółto, oświetlone witryny sklepowe zachęcały do zakupu towarów, w niektórych oknach paliło się światło, w innych panowała ciemność, a nad dachami górowała podświetlona na niebiesko wieża kościoła farnego. Henze i Frieling zastygli w bezruchu przed budynkiem ZIB, nie odzywając się do siebie, dopóki nie zadzwoniła komórka.

– Nic – powiedział jeden z policjantów. – Ktoś tu kopał, ale niczego nie znaleźliśmy.

– Kopcie głębiej! – powiedział Henze.

– Dokopaliśmy się już do twardej ziemi.

– Nie przerywajcie! – rozkazał Henze. – I przeszukajcie okolicę!

Pojawiła się mała, niedorzeczna iskierka nadziei, że mały Marc wciąż żył, lecz Henze nie dał się ponieść emocjom. Kiedyś może jeszcze zdarzały się cuda, lecz nie w dzisiejszych czasach. Nie w Unnie i nie w takiej robocie. Nie, dziecko nie żyje. Zamordowała je jego własna matka. I nagle Henze poczuł, że wie już, gdzie się znajduje. Tam, na górze, gdzie śpiewano mu chorały, których nie słyszy i już nigdy nie będzie w stanie usłyszeć.

Henze spojrzał w górę na komin, zobaczył niebieską, neonową liczbę 610 i znajdującą się nad nią kolejną, 987. Spytał siebie, jaką następną liczbę powinno się zapisać na ciemnym niebie nad krawędzią komina, nad siedzącą na nim w kucki czarną sylwetką kołyszącą zawiąniętko na kolanach. Henze policzył w myślach.

– 1597 – powiedział. Gdy Frieling spojrzała na niego pytająco, dodał: – To następna liczba ciągu Fibonacciego.

– 1597 – powtórzyła. – W tym roku Philipp Nicolai napisał chorał „Jak pięknie świeci Jutrzenka z rana”.

Kącik jej ust lekko zadrżał. Była nie tylko dobrą policjantką. Henze spojrzał na zegarek.

– Jeszcze dwadzieścia jeden minut. Wszystko już przygotowałam – powiedziała Frieling.

– Co się jeszcze może wydarzyć? – spytał Henze.

– Ona skoczy – odpowiedziała.

– Skoczy tak czy inaczej – odrzekł Henze.

Frieling spojrzała na komin. Miał pięćdziesiąt dwa metry wysokości.

– No dobrze – powiedział nadkomisarz, a Frieling zaczęła działać.

Dopiero później Henze był w stanie odtworzyć przebieg wydarzeń. Tamtej nocy nie dotarło do niego, że Frieling i jej ludzie zadzwonili

do odpowiednich osób z zakładów komunalnych oraz księży w Unnie. Nie słyszał komunikatu radiowego dla kierowców w związku z rzekomym podłożeniem bomby, z powodu którego autostrady wokół Unny musiały zostać całkowicie zablokowane. Nie wiedział, że drogówka zamknęła wszystkie główne trasy wylotowe, a obywateli o nieposzlakowanej opinii zachęciła do ustawiania samochodów na skrzyżowaniach tak, aby wstrzymać ruch pojazdów. Nie domyślił się szeregu przeprowadzonych rozmów telefonicznych, za pomocą których zmobilizowały swoich członków do działania takie organizacje z Unny jak Związek Strzelecki Hemmerde, Związek Pocztowy „Przy Hellweg”, Amnesty International oraz chór ewangelicki. Tak samo jak nie domyślał się, że w centrum Unny dziesiątki ochotników zadbały o to, by o godzinie zero nie rozbłysnął nawet płomień zapalniczki.

Henze wpatrywał się tylko w ciemne niebo nad kominem i wyobrażał sobie, że pojawiają się na nim kolejne liczby ciągu Fibonacciego. Liczył intensywnie w pamięci: 1597, 2584, 4181 – coraz większe liczby, coraz wyżej – 6765, 10946. Nawet nie zauważył, jak mieszkańcy Unny z Massener Straße, z Rembrandtstraße oraz z West i Nordring napływali do Lindenbrauerei – 17711, 28657 – jak tłum wypełniał plac tak, że z góry nie było widać nawet kawałka asfaltu – 46368 – jak członkowie kościoła ewangelickiego podzielili się na głosy i ćwiczyli tekst – 75025...

Henze ocknął się, gdy zaczęły bić dzwony kościoła farnego i te z kościoła Świętej Katarzyny, a gołębie w popłochu fruwały wokół jego wież. Potem za jednym zamachem zgasły wszystkie światła: żarówki, oświetlenie na ulicach i w witrynach sklepowych, iluminacje, nawet ciąg Fibonacciego na kominie. Z początku Henzego poraziła nagła ciemność, w której migotały jeszcze refleksy świetlne, jakby siatkówka oczu nie mogła uwierzyć, że wszystko zgasło. Jednak powoli głęboki mrok wypływał ze wszystkich szpar, zalewał ulice, topił dachy, rósł i rósł. W Unnie znowu panowała noc.

Henze przeniósł wzrok z komina na migoczące światła miast na horyzoncie. Ich żółty blask na niebie zdawał się pełnić funkcję odległej

linii brzegowej. Przed nią rozciągał się czarny ocean, który gasił każdą iskierkę światła w zasięgu wzroku i tworzył ciemności niemal biblijne, jak u zarania dziejów, gdy rodziły się gwiazdy, rozbłyskujące w mroku jedna po drugiej.

Pośród tej ciemności, gdzieś na placu przed Lindenbrauerei, basowy głos zaintonował pieśń. Dołączył do niego chór, zachęcając innych zebranych. Setki, może nawet tysiące mieszkańców Unny śpiewało chorał napisany w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku podczas wielkiej epidemii dżumy:

– Jak pięknie świeci Jutrzenka z rana, pełna łaski i prawdy od Pana...

Śpiewali dla martwego dziecka.

Śpiewali dla kobiety na pięćdziesięciodwumetrowym kominie.

Zaśpiewali pierwszą strofę chorału do końca i zaczęli od początku, ponieważ mało kto znał tekst kolejnych. Gdy po raz trzeci wychwalali jutrzenkę, niewyraźna postać na kominie poruszyła się, obróciła, odszukała po omacku metalowe szczeble przymocowane do komina i zaczęła schodzić na dół. Mieszkańcy Unny nie przestali śpiewać, dopóki nie zjawiła się na dole.

Henze włączył latarkę. Razem z Frieling torował sobie drogę przez tłum. Jak gdyby nigdy nic Daniela Trochowski oddała im koc, w który owinięty był martwy chłopiec. Tłum stał w ciszy. Henze zapytał:

– Dlaczego pani to zrobiła, pani Trochowski?

– Nie chciałam, by nas znaleźli – powiedziała. – Chodzili za nami wszędzie, całą noc przeszukiwali cmentarz tylko po to, żeby odebrać mi syna. Nie wiem, czy to ludzie, czy duchy, w każdym razie musieliśmy być cicho, ale Marc jest jeszcze taki mały, dlatego płakał. Nie chciał przestać płakać. Pewnie marznie, pomyślałam, nad ranem zrobiło się dość zimno, więc owinęłam go kocem. Okręcałam go od główki aż po stopy, coraz ciaśniej, żeby przestał marznąć. Potem zasnął. Być może zrozumiał, że nie mogą nas znaleźć, bo nagle zupełnie ucichł. Wstrzymał nawet oddech, tak by nikt nas nie usłyszał.

– Chodźmy, pani Trochowski – powiedziała Frieling.

Henze podał jej latarkę. Spojrzał w górę. Chętnie by się dowiedział, czy z komina da się zobaczyć wschodzącą jutrzenkę.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Zuzanna Pikul

Korekta: Maciej Sznurkowski, Kaja Pudełko, Katarzyna Homoncik, Kaja Jaroszevska

Weryfikacja: Ilona Skrzypczak, Joanna Gasińska, Jakub Moroński, Patrycja Pancierz, Damian Szandeki

Szczytywanie: Anna Dudało

Sprawdzenie z oryginałem: Joanna Nieszporek

ŚNIEG NA BLUTKUPPE

Tłum. Joanna Mirek

– Śledztwo nie zostało jeszcze zakończone.

Czoło czarnoskórego oficera policji w Swakopmund zroszone było kropelkami potu. Zawieszony na suficie wentylator powoli poruszał się w dusznym powietrzu. Wydawało się, że zaraz przestanie działać. Zza obskurnej ściany pobrzmiwał ledwo tłumiony, donośny, wyraźnie zdenerwowany głos, mówiący w niezrozumiałym języku. Hohner pomyślał mimowolnie, że to zapewne przesłuchanie, chociaż nie potrafił stwierdzić, czy to przesłuchiwany tak gorliwie zapewniał o swojej niewinności, czy może przesłuchujący wykrzykiwał oskarżenie za oskarżeniem.

– Przyjechałem tutaj specjalnie z Niemiec – powiedział Hohner.

– Dziesięć godzin lotu, a potem jeszcze kilka godzin samochodem ze stolicy aż tutaj. Nie sądzi pan, że ja...

– Nie możemy wykluczyć morderstwa.

– Tak, już pan to mówił. Chętnie dowiedziałbym się jednak, co się dokładnie stało.

Policjant wpatrywał się w migoczący ekran komputera. Nie był to co prawda najnowszy model, ale na namibijskim posterunku policji Hohner spodziewał się co najwyżej kilku starych maszyn do pisania. Odchrząknął.

Policjant skierował wzrok w jego stronę.

– Czy pana szwagier miał problemy psychiczne?

– Słucham? Dlaczego pan pyta?

Oficer postukał się w czoło, jak gdyby nie był pewien, czy Hohner właściwie rozumiał jego słowa.

– Nie, nigdy – odparł Hohner. – Nie miał, dopóki mieszkał w Niemczech.

– Ale w Namibii przebywał już dwa lata – odpowiedział policjant.
– Co się tu stało? – zapytał Hohner. Odchylił się i skrzyżował ramiona.

Nie pozwoli kazać sobie czekać do jutra ani odesłać się do jakiegoś innego, podobno właściwego, miejsca.

Oficer obrzucił go spojrzeniem bez wyrazu. Potem wstał i opuścił biuro. Niezrozumiały głos z pokoju obok wciąż utrzymywał wysokie, nerwowe tony. Na ekranie migotały ciągle te same figury geometryczne. Wokół Hohnera krążyły natrętne muchy. Odgonił dłonią jedną z nich, kiedy próbowała dostać się do jego oka. Policjant wrócił z czarnym brulionem w ręku. Położył go na biurku.

– Pana szwagier prowadził dziennik. Musi go pan przeczytać tutaj, ponieważ jest to dowód w sprawie.

Hohner sięgnął po notes.

– Poza tym – wtrącił oficer – Namibia może sobie być zacofanym afrykańskim krajem, ale nawet tutaj znajdzie pan kilkoro ludzi, którzy mimo wszystko nie wierzą w duchy i czytanie w myślach. Na przykład mnie.

Hohner otworzył pamiętnik.

23 grudnia, godz. 15:00

Powietrze płonie. Nie muszę unosić wzroku, by wiedzieć, że słońce rozpałiło już całe niebo. Wysiadłem. Siedzę teraz pod akacją – jeszcze przed chwilą w jej nieregularnym cieniu rozbrzmiewał warkot silnika, który wypłoszył antylopy. Rzuciły się do ucieczki długimi susami, jakby chciały jak najkrócej dotykać rozżarzonego piasku. Stoją teraz dwa, trzy metry dalej, jakby wrośnięte w przesuszoną na wskroś ziemię. Wszystkie zwróciły głowy w moją stronę.

W oddali nad pustynią migoczą fale rozgrzanego powietrza. Mógłbym przysiąc, że rozpościera się tam jezioro, a nawet, że jestem w stanie rozpoznać roślinność nad jego brzegiem i zauważyć zeglujące tam łódki. Oczywiście to tylko złudzenie optyczne. W promieniu stu kilometrów

nie ma nawet kałuży: tylko piasek, kamienie, parę mizernych porostów i słonolubnych krzewów. To chyba cud, że w tym wyschniętym korycie rzeki rośnie jeszcze kilka akacji. Wątpię, żeby kiedykolwiek spadła tu choć kropla deszczu, jednak podczas pory deszczowej to właśnie tymi dolinami spływa woda opadowa.

Gaszę pragnienie. Płyn w plastikowej butelce przypomina breję. W Swakopmund pewnie wlałbym w siebie już kilka piw. Z samej rozpaczki wywołanej widokiem stałych bywalców baru Tiger Reef topiących smutki w piwie Windhoek Lager przy dźwiękach ogłuszającej muzyki rockowej sprzed trzydziestu lat. I z powodu świadomości, że reszta białych mieszkańców Namibii spędza Boże Narodzenie na przemierzaniu wydm quadami albo na czekaniu w kafejkach, aż rozbłyszczą te idiotyczne iluminacje. Nie znoszę widoku aniołków podświetlanych lampkami w środku afrykańskiego lata. Nie lubię patrzeć na złane potem czarne kasjerki, noszące czapki świętego Mikołaja. Jeśli chodzi o mnie, to można by w ogóle zrezygnować z Bożego Narodzenia. Z największą przyjemnością.

Jeszcze jeden łyk wody. Antylopy nie ruszają się z miejsca ani na krok. Na horyzoncie widzę już Blutkuppe. Przede mną jeszcze godzina jazdy kiepską żwirową drogą.

73

23 grudnia, godz. 21:00

Rozbiłem namiot tuż przy ścianie skalnej, tak abym rano mógł skorzystać chociaż z kilku godzin cienia. Wokół mojego legowiska – spomiędzy odłamków skalnych – wyrastają krzewy, a z tyłu, w dolinie, można dopatrzeć się nawet kilku niezbyt wysokich drzew. Dokładnie naprzeciwko mnie wznosi się Blutkuppe – potężna bryła surowego kamienia, która w pełni zasłużyła na swoją nazwę, zwłaszcza podczas dzisiejszego zachodu słońca⁴. Po prostu siedziałem i nie mogłem od niej oderwać wzroku. Pytałem samego siebie, czy rozgrywające się przed moimi oczami widowisko opowiada o żądzy życia, czy raczej nieuchronności śmierci. Jak gdyby tonące słońce było

4 Nazwa Blutkuppe w dosłownym tłumaczeniu znaczy „Krwawa Kopuła” (przyp. tłumacza).

zaszlachtowanym dzikim zwierzem, którego krew tryska prosto w niebo i spływa na zboczne skały, przyjmującej barwę nieziemskiego szkarłatu zanim jeszcze dzień zamknie swe oczy, a szary zmierzch spowije górę. Ten dramat przeznaczono tylko dla mnie, nikogo poza mną tutaj nie ma. Mogłem sobie niemal wyobrazić, że jestem sam na świecie – tak daleko są pijani plażowicze i bożonarodzeniowi przebierańcy. Tak daleko są Niemcy i moja przeszłość.

Rozpaliłem ognisko, upiekłem i zjadłem kawałek jagnięciny. Za nikim nie tęskniłem ani o niczym nie myślałem, tylko przyglądałem się, jak z czarnego nieba spadają gwiazdy – jedna za drugą. Teraz przysłuchuję się cykającym świerszczom oraz gekonom skrzeczącym od czasu do czasu gdzieś na nagrzonej skale za moimi plecami. Czasem nad ogniskiem przeleci ze świstem nietoperz, a gdy jego cień zniknie w ciemności, słyszę szelest i jakieś kroki. Pewnie szakal wyczuł poobgryzane kości i krąży teraz wokół mojego obozowiska.

74

24 grudnia, godz. 8:00

Właściwie chciałem wspiąć się na Blutkuppe skoro świt, ale nie ufam temu czarnemu. Nazywa się Heiseb, a przynajmniej tak się przedstawił.

– Heiseb, a dalej?

– Po prostu Heiseb.

Nawet nie wiem, czy takie imię w ogóle istnieje. Heiseb twierdzi, że pochodzi z plemienia Damara, ale sądząc po jego wzroście i posturze powiedziałbym raczej, że należy do Herero albo Ovambo. Wczoraj wieczorem poszedłem na chwilę w krzaki, a kiedy wróciłem, siedział już sobie spokojnie przy ognisku. Prawie na mnie nie patrzył, gdy go zagadnąłem. Pojawił się nie wiadomo skąd, a gdy mu powiedziałem, że nie słyszałem zbliżającego się samochodu, po prostu zaczął się śmiać i wskazał na Blutkuppe. Twierdzi, że tu mieszka, a to jest jego góra.

To oczywiście kompletna bzdura. Jesteśmy w samym środku Parku Narodowego Namib-Naukluft, jak okiem sięgnąć nigdzie nie ma wody, żadnego domu, chatki, zupełnie nic. Nikt nie przemierza pustyni na

piechotę przy czterdziestostopniowym upale, nikt nie może tu żyć na stałe, żaden Damara, Ovambo czy ktokolwiek inny. Próbowałem go podpytać, ale najwyraźniej nie chciał mnie zrozumieć, chociaż dobrze mówi po angielsku. Zapytałem go na przykład, czy zna Swakopmund, na co odpowiedział, że dzisiaj rano widział zebra, która pobiegła dokładnie w kierunku miasta.

– Aha – odparłem.

A on? Czy on może był tam już kiedyś?

– Na początku myślałem, że zebra biegła na południe – odpowiedział. – Ale myliłem się, biegła w stronę Swakopmund.

– Czy to takie dziwne? – zapytałem.

– Jak to?

– Czy zebry zwykle migrują w różne strony?

Spojrzał na mnie, jakby nic nie rozumiał.

– Zebry migrują we wszystkich kierunkach, ale ta jedna dzisiaj wybrała dokładnie Swakopmund.

Tak właśnie wyglądały nasze rozmowy. Ja pytałem go o coś, a on opowiadał mi jakąś bezsensowną historyjkę niemającą żadnego związku z moim pytaniem. W końcu dałem sobie spokój. Siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się gasnącemu ognisku. Byłem zmęczony, ale nie chciałem jeszcze gramolić się do namiotu, dopóki ten czarny się tu kręcił. Nie czułem strachu. Chciałem tylko pokazać, że mam się na baczności, żeby mu nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby mnie okraść.

Noc wciąż była jeszcze ciepła, choć nadciągnęła już bryza z południowego zachodu. Krzewy zaczęły tajemniczo szeptać. Prawie tak, jakby dzięki nim dało się słyszeć śpiew wiatru. Nad nami rozpościerało się niewiarogodnie gwiaździste niebo. Poszukałem wzrokiem gwiazdozbioru Oriona. Od razu odnalazłem Rigela, jaśniejącego metalicznym błękitem, a także czerwonego nadolbrzyma Betelgezę. Bez trudu rozpoznałem też mgławicę przypominającą miecz myśliwego. Jednak nie udało mi się dłużej tak po prostu patrzeć, wyłączając przy tym myślenie. Kiedy nagły poryw wiatru wzbił tuman popiołu znad rozżarzonego paleniska, wróciło wspomnienie łagodnej nocnej śnieżycy, gdy za oknem płatki śniegu tańczyły na wietrze i gdy wydawało się, że padają jednocześnie ze wszystkich stron.

Heiseb, jakby odgadując moje myśli, zapytał:

– U was w Niemczech jest teraz zimno, prawda?

Pokiwałem głową. On również skinął, wstał i zniknął w ciemności. Dopiero gdy się oddalił, uświadomiłem sobie, że nie powiedziałem mu, skąd pochodzę. Może rozpoznał to po moim akcencie, ale z drugiej strony równie dobrze mógłbym być przecież Namibijczykiem niemieckiego pochodzenia. Zabrałem ze sobą nóż do namiotu. Źle spałem, jednak w nocy nic się nie wydarzyło, a z samochodu nic nie zniknęło. Wszystko jest na swoim miejscu. Heiseb też. Siedzi teraz oparty o skalną ścianę w cieniu, kilka metrów dalej. Układa starannie małe kamienie jeden na drugim i coś nuci. O ile się nie mylę, to „Cicha noc, święta noc”.

24 grudnia, godz. 19:00

Heiseb siedzi przy ognisku i coś piecze. Pstrągi. Danie, które Christine zawsze przygotowywała na Boże Narodzenie. W jej rodzinie była to już wielopokoleniowa tradycja, dlatego po naszym ślubie nalegała, żeby i u nas było podobnie. Najpierw pstrągi, potem prezenty.

Tylko że w Namibii nie ma pstrągów. Jest miętus, morszczuk, sola i nie wiem co jeszcze, ale na pewno nie pstrąg. Mieszkam w tym kraju już od dwóch lat i jeszcze nigdy żadnego nie widziałem. Ani w supermarketach w Swakopmund, ani w sklepach oferujących regionalne przysmaki w Windhoek. A my przecież jesteśmy pod Blutkuppe, w samym sercu namiwijskiej pustyni!

Heiseb tylko wyszczerzył zęby, gdy zapytałem, skąd u diabła wytrzymał te ryby. Powiedział, że dziś jest szczególnie dzień, dlatego chciał mnie ugościć czymś wyjątkowym.

– To bardzo miło z twojej strony – odparłem. – Ale skąd masz te ryby?

Pstryknął palcami, dając do zrozumienia, że je wyczarował. Ta cała maskarada działa mi już strasznie na nerwy. Jeszcze dziwniejsze jest to, że on najwidoczniej potrafił czytać w moich myślach, jak w otwartej księdze. Nawet więcej: to prawie tak, jakby szperał w moim mózgu tylko po to, żeby

wygrzebywać z niego rzeczy, o których chcę zapomnieć. Przed południem zapytał mnie nagle, czy bardzo tęsknię za żoną.

– Nie jestem żonaty – odparłem.

Heiseb wskazał obrączkę na moim palcu.

– Nie jesteśmy razem od dwóch lat. Po prostu nie zdjąłem obrączki.

– Ona nie żyje, prawda? – spytał. – Umarła w Boże Narodzenie.

Utkwiłem w nim wzrok. Widziałem czerwone żyłki odcinające się od białek jego oczu, widziałem wirujące za oknem płatki śniegu, Christine leżącą na łóżku i prześcieradło przesiąknięte krwią. Potrzebowałem dużo czasu, by o tym zapomnieć, a teraz każdy szczegół wydawał mi się tak wyrazisty i żywy, jakby to było wczoraj.

– Wynocha! – krzyknąłem. – Wynoś się z mojego życia!

Heiseb odszedł, nie odezwał się ani słowem. Będąc u kresu sił, zacząłem biec przed siebie. Wspiąłem się na skałę łagodnie wznoszącą się u stóp doliny. Pod moimi butami chrzęściły kawałki spękanej ziemi, wyschniętej na wiór w gorącym afrykańskim powietrzu. Małe jaszczurki umykały na boki. Wkrótce zrobiło się jeszcze bardziej stromo, pomagałem sobie dłońmi, czepiając się zakrwawionymi palcami rozgrzanych szczelin skalnych, aż w końcu stanąłem przed gładką, pionową ścianą, której obejście zajęło mi godzinę. Potem z trudem wdrapałem się na grań, ponad którą dmuchał pustynny wiatr, jakby wydobywał się z gigantycznej suszarki do włosów. Dopiero tuż przed zdobyciem szczytu zdałem sobie sprawę, że wybiegłem w żar południa bez kropli wody. Spieczony język przykleił się do podniebienia, w mózgu usychały wszelkie myśli. Wokół były tylko płonące skały, a nade mną – kula ognia. Swoją istotą wypełniała całe niebo i doprowadzała krew do wrzenia. Tak bardzo dudniło mi w uszach, że nie słyszałem już gwizdzącego wiatru. Mieniło mi się w oczach, jakbym widział padający śnieg. Mój krok stawał się coraz mniej pewny, mimo to uparcie wtaczałem się na górę.

Nie wiem, czy zdołałbym zejść na dół bez pomocy Heiseba. Pamiętam, że przykucnął obok mnie na samym szczycie i bez słowa wręczył mi butelkę wody, którą łapczywie wypilem. Zanim wyruszyliśmy w drogę powrotną, przysiadłem obok niego na kilka minut i razem wpatrywaliśmy się

w pustynię. Bezludną, opuszczoną, jałową krainę, pozbawioną jakiegokolwiek formy życia.

– Heiseb, skąd wiedziałeś, że moja żona zmarła w Boże Narodzenie?
– zapytałem.

– Przyszedłeś na pustynię sam, z dala od swojego kraju, żeby jej duch nie odnalazł cię w rocznicę śmierci. – Heiseb pokiwał głową. – Mądrze postąpiłeś.

Słyszałem już w swoim życiu bardziej przekonujące wyjaśnienia. Jednak nie od Heiseba.

Z drugiej strony, bo ja wiem, co takiemu czarnemu chodzi po głowie? Może ucieczka przed duchami na takie pustkowia wydaje mu się być jedynym logicznym wyjaśnieniem. Prawie w to uwierzyłem. Ale skąd wziął te pstrągi?! To się nie dzieje naprawdę!

25 grudnia, godz. 8:00

Obok mnie leży duży nóż. Na wszelki wypadek mam też schowany scyzoryk. Muszę teraz zdecydować, czy wyruszyć w drogę pieszko, czy też może nie powinienem tracić nadziei, że w ciągu dnia pojawi się strażnik parku narodowego. Nie zniosę kolejnej bezsennej nocy.

Gdyby tylko tak bardzo nie bolała mnie głowa! To pewnie skutek wczorajszego upału. Wciskam się w cień skały. Heiseb siedzi obok otwartego bagażnika mojego land cruisera i pałaszuje śniadanie – krakersy i suszone mięso z moich zapasów. Wydaje się, że mu smakują. Nic nie wskazuje na to, że tylko czeka na okazję, żeby mnie zabić.

Wczoraj w nocy nagle wstał i pochylił się nad stosem kamieni przy skale, mamrocząc coś pod nosem.

– Co tam robisz? – spytałem.

– To stare miejsce kultu przodków.

– Bzdura, Heiseb, przecież sam widziałem, jak układałeś ten stos kamieni.

Zamiast odnieść się do moich słów, zapytał mnie cicho, niemal niedostrzegalnie:

– Dlaczego zabiłeś swoją żonę?

Sądziłem, że źle go zrozumiałem, ale potem do mnie dotarło. W oczach Heiseba błyskały płomienie ogniska. Wydawało się, że jego ślepia tryskają iskrami, a sam Heiseb nie jest człowiekiem, lecz duchem albo diabłem, który specjalnie dla mnie przybył z innego świata. Wiedziałem już, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Potrzebowałem chwili, aby się uspokoić. Potem poderwałem się z miejsca i krzyknąłem, że nie życzę sobie takich bezczelnych uwag. Rzuciłem się pędem do samochodu, wsiadłem do środka i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Samochód nie odpalił. Przez chwilę słuchałem rżęącego dźwięku rozrusznika. Nic.

– Wygląda na to, że paliwo się skończyło! – krzyknął Heiseb.

Nie ruszył się sprzed ogniska ani na krok. Otworzyłem dwudziestolitrowy kanister, który własnoręcznie napełniłem w Swakopmund. Był pusty. Ani kropli benzyny! O mały włos nie wpadłem w panikę i nie pobiegłem prosto przed siebie w ciemną noc. Ale po chwili pomyślałem, że Heiseb tylko na to czeka. Godzinami błąkałbym się po pustyni, nie mogąc się od niego uwolnić. W którymś momencie wyrósłby przede mną jego cień. Albo za mną. Sięgnąłem po nóż i znów usiadłem przy ognisku.

– Dlaczego zamordowałeś swoją żonę? – zapytał mnie. Tak, jak gdyby nic się nie stało. Jakby zadawał to pytanie każdemu, kogo spotka.

– Nie zamordowałem mojej żony – odparłem.

– To dlaczego jej duch cię prześladowuje?

Jej duch? Faktycznie, od wczoraj dręczyły mnie wspomnienia. Nie mogłem wymazać z pamięci tego straszego dnia. Włączona nocna lampka. Abażur szkicujący na ścianie znajome cienie. Rozsunięte białe zasłony, a za oknem płatki śniegu unoszące się z taką lekkością, że nie wiedziałem, czy lecą z góry, czy z dołu.

Czułem, że oblewa mnie pot. Pewnie od płonącego ogniska albo od gorąca, które teraz oddawały nagrzane za dnia skały. Zmusiłem się, aby zachować spokój; chciałem powiedzieć Heisebowi, że Christine sama odebrała sobie życie. Że najpierw wzięła tabletki na sen, a potem podcięła sobie żyły. Że cierpiała na depresję. Że tacy ludzie skłonni są do prób samobójczych właśnie w święta, bo...

Heiseb gdzieś zniknął. Nie zauważyłem, żeby wstał z miejsca. Jego puszka po piwie wciąż tam stała, ale kamień, na którym jeszcze niedawno siedział, był pusty.

– Heiseb?! – krzyknąłem w czarną pustkę nocy.

Ciemna sylwetka Blutkuppe odznaczała się wyraźnie na tle morza gwiazd. W dole rozciągała się nieprzenikniona ciemność, w której zanikały wszelkie kształty. Z krzewów dochodziło cykanie świerszczy i żaden szelest, żaden powiew nie mącił ich odwiecznej, niezmiennej pieśni. Duchy przychodzą i odchodzą po cichu. Nie wróciłem do namiotu, cofnąłem się z powrotem ku skalnej ścianie, trzymając w ręce nóż. Przez całą noc nie zmrużyłem oka.

26 grudnia, przed południem

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie miałem w ustach ani kropli. Heiseb schował gdzieś kanistry z wodą. Pojawia się i znika, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Dopiero co widziałem go, jak w oddali szedł przez pustynię, przypominając fatamorganę, a za chwilę siedział nade mną na skale i nucił „Cicha noc, święta noc”. Być może wciąż przysypiam, mimo że przesuwam dłońią po ostrzu noża, gdy tylko zauważę, że kleją mi się oczy.

Cień skały topi się niczym śnieg na pustyni. Czuję, jak słońce parzy mi nogi. Jaszczurki podchodzą teraz do mnie prawie na wyciągnięcie ręki. Chyba są po mojej stronie, ale nie jestem pewien. Stos kamieni Heiseba wygląda, jakby urósł przez noc. Zewsząd słyszę szepczące głosy, bliżej, coraz bliżej, ale nie rozumiem ich języka. Tworzę nowe połączenia słów i mówię je sam do siebie, żeby nie zasnąć: pustynna zima, ostry śnieg, słoneczne płatki.

Powinienem był wyruszyć zaraz po tym, gdy zorientowałem się, że Heiseb unieruchomił land cruisera. W ciemną noc maszerowałbym prosto przed siebie na chybił trafił, a gdy na niebie pojawiłby się Krzyż Południa, kierowałbym się nim tak długo, aż dotarłbym do drogi C28. Od czasu do czasu przejeżdża nią samochód. Ktoś mógłby mnie podwieźć. A ja zdołałbym uciec.

– Dlaczego nie uratowałeś swojej żony? – zapytał przed chwilą Heiseb, skradając się niczym wygłodniała hiena. Gdybym nie miał przy sobie noża, już dawno by mnie rozszarpał.

– Ona już nie żyła – wyjącałem. – Zepsuł mi się samochód i przyjechałem do domu trzy godziny za późno. Była Wigilia. Żadna pomoc drogowa nie chciała przyjechać.

Biegłem przez noc. Przez zimno. Przez padające łagodnie płatki śniegu. Przez dziewiczą, białą pustynię. Śnieg spowijał łąkę niczym całun. Mam dreszcze. Podniebienie wyschło na wiór. Nie wiem, czy zabija mnie upał, czy zimno. Jak długo trzeba czekać, zanim się umrze?

– A jeśli przyjechałbyś do domu na czas? – pyta głos Heiseba, dochodzący nie wiadomo skąd. – Gdyby wciąż żyła i...

Słowa Heiseba huczały głucho. Skąły Blutkuppe odbijają rozżarzone echo. A może to tylko dudnienie w moich skroniach? Jestem coraz słabszy. Nie mogę już dłużej czekać. Mam jeszcze nóż. Teraz albo nigdy. Albo on, albo ja.

81

Na tym kończy się ostatni wpis. Na samym końcu pismo stało się koślawe. Hohner zamknął notes i odrzekł:

– Wygląda mi to na ewidentne morderstwo.

– Nie możemy tego wykluczyć – odparł policjant.

– Złapaliście tego Heiseba?

Oficer pokręcił przecząco głową.

– Ale chyba zarządziliście pościg?

W pokoju obok nastąpiła cisza. Słychać było tylko ciche terkotanie wentylatora wiszącego pod sufitem.

– Nie znaleźliśmy żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś jeszcze poza pańskim szwagrem przebywał pod Blutkuppe.

– Powinniście kazać porządnie przetłumaczyć pamiętnik – odrzekł Hohner. – Jest w nim mowa o wysokim, silnym czarnym, który podaje się za Damarę i...

– ...umie czytać w myślach, wyczarowywać pstrągi, pojawia się jak duch, a potem znowu znika.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Znaleźliśmy jagnięce gnaty, ale żadnych ości. W baku land cruisera znajdowało się dokładnie czterdzieści pięć litrów benzyny. Rezerwowo kanister był pełny. Auto odpaliło za pierwszym razem bez najmniejszego problemu. Bukłaki z wodą stały dokładnie obok ciała pańskiego szwagra, na skale. Przed nim leżał ten notes, obciążony kamieniem, tak żeby wiatr nie mógł przewracać stron ani nigdzie go przesunąć.

Hohner przypatrywał się czarnej książce. Był na nim napis „brulion, 96 kartek” oraz informacja, że dzięki wzmocnionemu szyciu jest odporny na zniszczenie.

– Ten cały Heiseb musiał przecież widzieć, jak pana szwagier pisze pamiętnik – powiedział policjant. – Musiał liczyć się z tym, że coś o nim napisał. Dlaczego więc nie chciał, żeby ten dowód zaginął?

Hohner wzruszył ramionami.

– Pana szwagier się wykrwawił. Miał podcięte żyły. Na obydwu rękach. Jego własnym nożem.

– Samobójstwo? Ale przecież sam pan mówił, że...

– ...że nie wykluczam morderstwa, owszem. A przynajmniej czynu pokrewnego morderstwu.

Policjant otworzył ostatnią zapisaną stronę pamiętnika i postukał palcem w zdanie na końcu wpisu.

– A gdyby pana szwagier wrócił do domu na czas? Znajduje swoją żonę jeszcze przy życiu, sięga po telefon, by zadzwonić po pogotowie. Kiedy wybiera numer, przychodzi mu do głowy myśl, że mogłoby to oznaczać koniec, byłby wolny i mógłby wyemigrować do Afryki, jeśli tylko przyjechałby godzinę czy dwie później. Mogłaby go zatrzymać na przykład awaria samochodu. Odkłada więc telefon, wsiada do samochodu i...

– To niemożliwe! – zaprotestował Hohner. – Niemiecka policja badała sprawę także pod tym kątem. Nie wniesiono nawet oskarżenia.

– Człowiek nie zabija się tak łatwo – stwierdził policjant. – Nawet, gdy sumienie nie daje mu spokoju przez dwa lata. Jakaś jego część

zawsze trzyma się kurczowo życia. Broni się, usprawiedliwia, wypiera, ucieka na pustynię. Ale tutaj nie sposób skryć się przed tą drugą częścią, która wciąż przypomina, ciągle dręczy i nieubłaganie domaga się pokuty.

Wentylator cały czas pracował. Na tyle szybko, że Hohner nie był już w stanie policzyć, ile ma śmigieł – trzy czy cztery? Mimo to nie czuć było podmuchów powietrza. Policjant mówił dalej:

– Nie wiem, dlaczego dla was, białych, wina musi mieć zawsze czarny kolor. Mogę sobie jednak wyobrazić, że ktoś wpada na pomysł, aby nadać jej imię Heiseb. Był półbogiem plemion Nama i Damara, nad którym śmierć nie miała władzy. Za każdym razem, gdy umierał i był chowany pod stosem kamieni, powstawał z martwych i żył dalej, by – ukryty między krzewami – wyśpiewywać swe pieśni. Był kimś, kogo nie można się było pozbyć, podobnie jak własnego sumienia. Ale ja nie wierzę w półbogów. Sądzę, że ten Heiseb istniał tylko w głowie pańskiego szwagra. To była część jego samego, która wiedziała, że był winny śmierci swojej żony i chciała zrobić z tym porządek. Nic dziwnego, że Heiseb wiedział, co jedli na wigilię, dlaczego pana szwagier uciekł na pustynię i co wydarzyło się dwa lata temu w Niemczech.

Łagodna śnieżycyca w wigilijny wieczór. Hohner przypomniał sobie, że w dniu pogrzebu wszystko było białe. Rozkopany grób wydawał się świeżą raną na tle śnieżnej kołdry otulającej świat.

– Po prostu pozwolił mojej siostrze umrzeć? – Hohner pokręcił głową.

Oficer milczał. Wentylator cicho brzęczał. Hohner wstał z krzesła. Policjant odparł jedynie:

– Przykro mi.

– Dzisiaj wracam do Windhoek i lecę najbliższym samolotem do Niemiec.

Hohner opuścił posterunek policji. Na zewnątrz wiał rześki wiatr z południowego zachodu, dzięki czemu dało się wytrzymać panujący upał. Przeszedł przez ulicę i skierował się drogą prowadzącą w dół, nad morze. Po prawej stronie minął zatłoczoną plażę, restaurację Ocean Basket, opędził się od ulicznego handlarza drewnianych figurek

w kształcie zwierząt i udał się na sam koniec molo, gdzie znajdował się punkt widokowy. Przez niemal pół godziny przypatrywał się fokom na pobliskich skałach. Po jakimś czasie pojawił się obok niego postawny Murzyn.

– Nazywam się Heiseb – odrzekł mężczyzna.

– Heiseb, a dalej?

– Po prostu Heiseb.

Hohner nawet nie wiedział, czy takie imię w ogóle istnieje. Skinął głową. Następnie wyciągnął z kieszeni kopertę z pięcioma tysiącami euro i wręczył ją mężczyźnie.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Zuzanna Pikul

Korekta: Dominika Świątkowska, Maria Bernaciak, Agnieszka Stawarczyk

Weryfikacja: Agata Bisiecka, Patrycja Pancierz, Michał Goła, Damian Szandecki

Sczytywanie: Magdalena Kowalewicz

Sprawdzenie z oryginałem: Bartłomiej Nowak

TO NIE JEST BAJKA DLA BÖNEN

Tłum. Izabela Ciupak, Marlena Zalewska

– Otwarty czy zamknięty? – dopytywał kolega Kniebel z miejsca dla pasażera.

Przestało już padać, ale na jezdni wciąż było mnóstwo wody. W tę mglistą noc uliczne latarnie migotały mlecznym światłem. Komisarz z Wydziału Kryminalnego, Malenke, jechał tak szybko, na ile pozwalały mu panujące na drodze warunki.

– Szlaban? Zamknięty! – powiedział, chociaż nie miał najmniejszej ochoty się zakładać.

Dorastał w dzielnicy Altenbögge, a teraz mieszkał przy Haarenweg po stronie Bönen, więc doskonale wiedział, że kiedy chce się przejechać, szlaban nigdy nie jest otwarty. Chyba że założy się o to z Knieblem.

– O dwa piwa i czystą u Lohnmanna? – zapytał Kniebel.

Malenke przytaknął. Dawne tereny kopalni, znajdujące się na prawo od Oststraße, niknęły w nocnej mgle, jednak nawet w słoneczny letni dzień nie było tam nic do oglądania. Nic oprócz fundamentów pod nową podstawówkę, która dzięki niezbadanej mądrości planistów miała powstać w samym środku przemysłowego cmentarzyska. Kiedy skręcił i jechał wzdłuż torów kolejowych, zobaczył zbliżające się światła pociągu regionalnego, pędzącego w kierunku Unny. Dodał gazu, choć zdawał sobie sprawę, że było za późno. Nie powinien się zakładać. Kniebel wyszczerzył zęby, bo gdy dotarli do przejazdu kolejowego, szlaban właśnie szedł w górę.

– No to w niedzielę o jedenastej u Lohnmanna.

Malenke nie odpowiedział. Zaparkował samochód na chodniku i włączył światła awaryjne.

Ani żywej duszy w zasięgu wzroku.

– Fałszywy alarm – stwierdził Kniebel.

Zresztą czego innego można się było spodziewać? Kiedy o dwudziestej pierwszej trzydzięci pięć na policję dzwoni prawdopodobnie naćpany chłopak, najczęściej chodzi o jakiś głupi żart. Zwłaszcza jeśli twierdzi, że z okna pociągu widział, jak jeden mężczyzna rozbija drugiemu czaszkę łopatą. Na przejeździe kolejowym. W Bönen, gdzie do ostatniego morderstwa doszło wiele lat temu.

Malenke zapiął skórzaną kurtkę i otworzył drzwi. Centrala mocno przesadziła, przysyłając tutaj od razu Kripo⁵, ale skoro już byli na miejscu, to mogli się trochę rozejrzeć, zanim odwołają alarm.

– Po której stronie szlabanu? – zapytał.

Drugi policjant zapalił papierosa i wzruszył ramionami.

– Na miłość boską, Kniebel! – powiedział komisarz. – Ja prowadzę, ty obsługujesz radio. Chcesz się zamienić, niech będzie, ale jak już odbierasz wezwania, pytaj o szczegóły!

Kniebel bez słowa przemaszerował na drugą stronę torów. Końcówka jego papierosa jarzyła się na czerwono. Malenke przeszedł przez mokrą ulicę do zastawionej gratami przydworcowej knajpki. Żadnej łopaty, żadnej odrąbanej głowy, niczego, co wskazywałoby na walkę.

Po drugiej stronie Kniebel sikał przy murku prowadzącym do dworca. I wtedy – jakby uruchomił tym jakiś alarm – nad krzyżem świętego Andrzeja włączył się sygnał świetlny, a szlaban znowu zaczął opadać. Co za pech! Przejazd był otwarty zaledwie dwie minuty, jednak na tyle długo, żeby Malenke musiał postawić w niedzielę kolejkę u Lohnmanna.

Po drugiej stronie Kniebel kołysał się na nogach, zapinając rozporek. Szlaban z przymocowaną do niego kratą znajdował się teraz w pozycji poziomej. Pociągu nie było jeszcze widać.

– Przeskocz! – krzyknął Malenke.

Drugi policjant rzucił niedopałek na ulicę, wymamrotał kilka słów pod nosem i zaczął szukać kolejnego papierosa.

5 Kripo – niemiecka policja kryminalna (przyj. tłumacza).

Dobry Boże, Kniebel! – pomyślał Malenke. Oparł się o szlaban. Pod lewą ręką wyczuł coś lepkiego. Jeszcze zanim zobaczył rozmazane ślady na czerwono-białym pręcie, wiedział, że to krew.

Świeża krew.

Razem z ludźmi umierają wspomnienia. Spisywanie ich nie pomaga – powiedziałbym nawet, że siłą rzeczy ulegają w ten sposób przekłamanu. Chociażby dlatego, że nie da się adekwatnie wyrazić słowami wyjątkowości obrazu, dźwięku, zapachu, no i oczywiście dotyku. Jeśli nawet wydaje ci się, że odtworzysz uczucie sprzed lat, kto wie, co zrobią z tym czytelnicy? Jakie własne wyobrażenie o świecie stworzą z twoich słów? Wynik jest jeszcze bardziej opłakany, jeśli inna osoba przelewa na papier twoje życie. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego niektórzy płacą za to jakimś pismakom. Przerażająca musi być myśl, że razem z tobą umrą twoje wspomnienia. Ale czy to naprawdę takie straszne?

Pani komisarz, długo się nad tym zastanawiałem i muszę pani wyznać, że ta myśl wcale nie jest dla mnie przerażająca. Przecież nie zabierzemy ze sobą do grobu nic więcej. To pocieszające, że wspomnienia odchodzą z człowiekiem, zamiast błąkać się bezpiecznie po świecie w zafałszowanej formie. Nie. Lepszy straszny koniec niż strach bez końca. To zawsze była moja dewiza.

Nazajutrz rano odnaleziono w Berlinie i przesłuchano chłopaka, który zawiadomił policję.

Żaden z pozostałych uczniów biorących udział w wycieczce nie zauważył, co wydarzyło się na przejeździe. Dla jedyne go świadka było to jak migawka z filmu grozy, miał on jednak pewność, że bardzo wyraźnie widział uniesioną łopatę, której metalowa część odbijała światło. Reszta pozostawała niewyraźna niczym wewnątrz zaciemnionego pomieszczenia, w którym gęstniejący mrok przybiera rzekome kontury postaci. Chłopak nie potrafił opisać ani napastnika, ani ofiary. Twierdził, że mogli to być dwaj mężczyźni.

Więcej świadków się nie zgłosiło. Policja nie chciała informować mediów, dopóki nie ustalą prawdziwego przebiegu wydarzeń. Wydawało się nieprawdopodobne, by gimnazjalista wyssał z palca całą tę historię, możliwe jednak, że wzbogacił swoje mało precyzyjne obserwacje o sceny z komputerowych strzelanek i w rzeczywistości cała sytuacja rozegrała się znacznie mniej dramatycznie. Może po prostu dwóch pijacków w drodze powrotnej do domu wzięło się za łby, łopata była tylko parasolem, a krew pochodziła z niegroźnej rany, z której dwaj awanturnicy śmiali się razem następnego dnia w trakcie spotkania przy przedpołudniowym piwie.

Nadkomisarz Christina Endrikat miała wrażenie, że wyglądało to inaczej. Może źle spała albo miała skłonność do fantazjowania – w każdym razie makabryczna scena, którą opisywał uczeń, ułożyła się w jej głowie w cały film. Jakby Endrikat siedziała w ciemnej sali kinowej z olbrzymim ekranem i nagłośnieniem stereo, widziała i słyszała, jak mężczyzna z roztrzaskaną czaszką jęczy, usiłując kurczowo przytrzymać się podniesionego szlabanu. Jak jego głowa opada, a ciało wiotczeje. Jak łopata z łoskotem upada na jezdnię, jak dwie ręce chwytają martwe ciało, zanim zdąży osunąć się na ziemię. Jak sprawca ciągnie je do swojego samochodu i pakuje do bagażnika, a w tym czasie szlaban powoli opada. Jak potem morderca wraca, żeby zabrać narzędzie zbrodni. Jak spogląda w górę na szlaban i przeklina, ponieważ dostrzega miejsce, z którego nie zdążył usunąć śladów krwi. Jak czeka dziesięć, dwadzieścia sekund, czy znowu nie nadjedzie pociąg, trzydzieści sekund, czy szlaban znowu nie opadnie, czterdzieści, pięćdziesiąt sekund, jak staje

się coraz bardziej nerwowo, minuta, i wtedy od strony Bönen słysząc odgłos silnika. Sprawca pośpiesznie wsiada do auta i przejeżdża przez przejazd kolejowy.

Śledczy Kniebel mógł sobie gadać, że Bönen to nie Bronx, jednak instynkt podpowiadał Endrikat, że na przejeździe bez wątplenia doszło do morderstwa. Widziała każdy szczegół tak dokładnie, że wystarczyłoby ich na więcej niż jeden nocny koszmar. Jedynie twarze sprawcy i ofiary pozostawały nieznane, dwie szare plamy o ostrych krawędziach, jakby ktoś wyciął je z filmu klatka po klatce.

Ślady krwi, które znalazł Malenke, poddano już analizie kryminalistycznej. Badanie DNA jest jednak mało przydatne, jeśli denat nie figuruje w odpowiedniej bazie danych. Endrikat pokładała o wiele większe nadzieje w rejestrze osób zaginionych. To oczywiste, że ofiara musiała skądś pochodzić. Może był to jeden z polskich przemytników papierosów czy też złodziej samochodów, którzy – jak się mawiało – przerobili autostradę A2 na Aleję Warszawską? Mimo to nadkomisarz poprosiła okoliczne posterunki policji, aby natychmiast informowały ją o każdym zaginięciu, zwłaszcza jeśli jego okoliczności będą podejrzane.

W ciągu dnia wpłynęło kilka zgłoszeń. Chłopak, którego wniosek o azyl został odrzucony, zapadł się pod ziemię, szesnastoletnia dziewczyna z Menden zniknęła bez śladu po tym, jak ktoś przejechał jej psa, emeryt z demencją nie mógł odnaleźć drogi do domu, a młoda Turczynka z Bergisch Gladbach wzięła nogi za pas, ponieważ – jak przypuszczał urzędnik, z którym rozmawiała Endrikat – została dotkliwie pobita przez męża.

Kniebel pokręcił głową. Małe, codzienne tragedie, których jest bez liku.

Jeśli wydział zabójstw miałby zająć się na poważnie każdą z takich spraw, to musiałby zwinąć interes – pomyślał.

Tak czy inaczej, Endrikat kazała we wszystkich przypadkach szukać materiału genetycznego.

Następnego ranka, dokładnie trzydzieści sześć godzin po wezwaniu, zgłosił się policjant patrolujący okolice zajazdu Pohlmann

przy Bahnhofstraße. Twierdził, że ma bardzo ciekawe informacje: Helge Bruhn, czterdziestosiedmioletni dziennikarz, od dwóch dni nie nocował w wynajętym przez siebie pokoju.

– Dlaczego to takie ciekawe? – zapytała Endrikat.

– Zajazd Pohlmann znajduje się dokładnie przy przejeździe kolejowym w Bönen.

– Bagaż nadal tam jest?

– Pokój wygląda tak, jakby facet wyszedł tylko na kolację.

– Zaraz tam będziemy.

W drodze do samochodu rozdzieliła zadania. Chciała wiedzieć wszystko o Helge Bruhnie: kiedy przybył do Bönen, z kim się spotkał, czy powiedział, pomyślał, uczynił lub zaniedbał cokolwiek, przez co ktoś mógłby roztrzaskać mu czaszkę łopatą.

Powiedział mi, że Bönen potrzebuje swojej bajki. Każde miejsce jej potrzebuje, ale Bönen w szczególności. Miejsce, którego obszar przemysłowy jest większy niż powierzchnia mieszkalna; miejsce, którego wszystkie kościoły swobodnie zmieściłyby się w jednej z wielkich hal firm Kik czy Denninghaus – takie miejsce wręcz się o to prosi. Gmina od zawsze była tylko dodatkiem, obecnie dla przedsiębiorstw, wcześniej dla przemysłu górniczego. Po zamknięciu kopalni Königsborn rozprawiono się ostatecznie z przeszłością, wszystko – poza samotną wieżę wyciągową kopalni Königsborn III/IV – zburzono, zasypano, pogrzebano i w mgnieniu oka wymyślono na nowo. Jak to się mówi w języku biznesowym – zbudowano od podstaw. To sformułowanie zawsze przywodziło mu na myśl chwiejny domek z kart.

– Uważa pan, że Bönen ma problem z tożsamością? – zapytałam go.

– Z tożsamością? – Zaśmiał się. – Bez przesady. Bönen potrzebuje tylko bajki. Swojej bajki.

Niektórzy nie zgodziliby się z nim. Mówiliby, że Bönen o wiele bardziej potrzebuje miejsc pracy i sprawnej polityki integracyjnej, ale mi było to obojętne. Musi pani wiedzieć, pani komisarz, że żyję własnym życiem. Z całą swoją skromnością uważam się za człowieka, który traktuje innych uprzejmie i taktownie. I to musi wystarczyć. Nie potrzebuję zainteresowania świata. I absolutnie nie nadaję się na księcia z bajki. A dokładnie taką rolę dla mnie przewidział.

Helge Bruhn. Urodzony piątego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku w Bönen. Jego dziadek, znany i lubiany górnik, komunista, został internowany przez nazistów do Schönhausen⁶, gdzie ogolono mu włosy, których nie zapuścił już aż do śmierci w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Ojciec, z zawodu sztygar, zmarł w tym samym roku. Pylica płuc. Matka wciąż żyła; mieszkała w domu spokojnej starości w Unnie. Po maturze młody Bruhn odbył praktykę w redakcji miejscowej gazety codziennej, później przeniósł się do Hamburga, gdzie przez lata tropił skandale dla różnych czasopism, dzięki czemu zyskał wątpliwą sławę. Wkrótce sam trafił na czołówki gazet, gdy udało mu się sprowokować arystokratę-choleryka, by tamten go spoliczkował. Sprawa w sądzie umarła śmiercią naturalną. Wydawało się, że Bruhn już kilka lat temu wypadł z branży. Jak wynikało z wyciągów bankowych, jego sytuacja finansowa nie wyglądała najlepiej. Przyczyniły się do tego koszty utrzymania dwóch byłych żon i trójki dzieci.

Wydawało się też, że nie odwiedzał Bönen od wieków – do czasu, gdy cztery dni temu zakwaterował się w zajeździe Pohlmann. Przyjechał

6 Schönhausen – obóz koncentracyjny na terenie III Rzeszy, przeznaczony dla komunistów oraz przeciwników nazistowskiego reżimu (przyp. tłumacza).

własnym samochodem, ognistoczerwonym volkswagenem golfem na hamburskich numerach. Nie wiadomo, kiedy auto zniknęło. Stało jeszcze przed motelem, gdy Bruhn wyszedł, żeby już nigdy nie powrócić.

– Widziałem go tamtego wieczoru, jak szedł przez przejazd kolejowy w stronę Altenbögge – powiedział właściciel zajazdu. – Tak około dziewiętnastej trzydzieści. Pewnie chciał coś zjeść.

Endrikat kiwnęła głową i skierowała się do pokoju Bruhna, gdzie zabezpieczano ślady. Malenke sprawdził wszystkie restauracje, które znajdowały się w najbliższej okolicy. Szukano ognistoczerwonego volkswagena. Przeczucie mówiło Endrikat, że był gdzieś w pobliżu. Może nawet z trupem właściciela w bagażniku.

Zatrzymała się przed drzwiami pokoju. Zamknęła oczy i od razu powróciły do niej fragmenty filmowej sceny z przejazdu kolejowego. Znowu usłyszała świst łopaty, łamanie kości i niemalże zdziwiony jęk, znowu wszędzie była krew, jednak teraz spływała po twarzy, którą Endrikat potrafiła zidentyfikować. Tym razem mężczyzna upadł na asfalt w momencie, gdy szlaban się unosił. Dwie obce ręce przetrząsnęły kieszenie ofiary w poszukiwaniu kluczyków do auta, a potem zaczęły ciągnąć martwe ciało przez przejazd kolejowy tam, gdzie czarno-biały film nagle nabierał barw. Przynajmniej takie miało się wrażenie, gdy z tła mglistej nocy wyłoniła się jaskrawa czerwień zaparkowanego przed motelem volkswagena golfa. Klapa bagażnika uniosła się nagle i...

– Źle się pani czuje, pani komisarz?

Endrikat otworzyła oczy. Kniebel stał w drzwiach pokoju, w którym krzątali się technicy, zabezpieczając ślady.

– Wszystko w najlepszym porządku – powiedziała.

– Myślałem tylko, że... – zaczął Kniebel. Śmierdział dymem papierosowym.

– Jest pan z Bönen, prawda? – przerwała mu. – Może by się pan lepiej zastanowił, gdzie w pośpiechu ukryłby pan samochód? Pojedzie pan tam i poszuka czerwonego golfa. I to natychmiast!

Kniebel gapił się na nią przez chwilę, po czym wyszedł.

Nadkomisarz zajrzała do pokoju Bruhna. Jeden z techników siedział przy laptopie zaginionego dziennikarza i przeszukiwał pliki.

– I co? – zapytała.

– Chodzi o królową.

– Co?

– Elżbietę II. Królową Anglii – powiedział technik.

Endrikat pochyliła się nad nim i zerknęła na ekran. Jak widać, Bruhna w ostatnich dniach pochłaniało tylko jedno. Szukał w Internecie informacji na temat historii rodziny Windsorów. Na dysku zapisał kilka artykułów, które ukazały się, kiedy Elżbieta pobiła rekord królowej Wiktorii i została najdłużej panującym monarchą Wielkiej Brytanii. Ale większość dotyczyła lat sześćdziesiątych. Bruhn szczególnie dużo uwagi poświęcił podróży Elżbiety do Niemiec.

– Wiedziała pani, że dwudziestego piątego maja w sześćdziesiątym piątym królowa nocowała tutaj w swoim specjalnym pociągu? Na bocznicy dworca Lenningsen? – zapytał technik.

Nie, tego Endrikat nie wiedziała. Niespecjalnie interesowała ją historia sprzed czterdziestu trzech lat – dawno zapomniany epizod z dawno zapomnianej podróży brytyjskiej monarchini. To, że Bruhn znowu wyciągnął ten fakt na światło dzienne, było dziwne. Jego zniknięcie, jego domniemana, gwałtowna śmierć nie miała z tym nic wspólnego.

A może jednak?

Powiedział, że to uczyni mnie sławnym. I bogatym. To nie jest przecież historia tylko na rodzimy rynek. Może się sprzedać na całym świecie. Angielskie brukowce będą zabijać się o wyłączność. „The Sun” z pewnością prześcignie wszystkich i wyskoczy z tak wielkim nagłówkiem na stronie tytułowej, że nic innego już się nie zmieści.

On wie, jak się za to zabrać. Musiałbym zniknąć, podczas gdy on na początek wylansowałby kilka jałowych linijek przez Niemiecką Agencję Prasową i Reutersa. To będzie prawdziwa bomba. Potem trzeba tylko czekać na oferty i podpisać odpowiednie umowy. Liczy też na ekranizację tej historii. Może z Cate Blanchett i Leonardo DiCaprio w rolach głównych. Co najmniej.

Wcale nie chciałem być sławny, ale to go nie powstrzymało. „Apetyt rośnie w miarę jedzenia” – mawiał z tym swoim rżącym śmiechem. Już udowodniłem przecież, że nie lubię marnować okazji. Nieustannie przekonywał mnie, argumentował, błagał, schlebiał, a ja, pani komisarz, mogłem odpowiedzieć mu tylko to, co teraz mówię pani: zgadza się, że pracowałem jako pomocnik na dworcu Lenningsen i widziałem wówczas królową. Rano, przez okno pociągu. Wszystko inne to bzdura. Nie zamieniłem z nią słowa. Nie znam nawet dobrze angielskiego.

Powiedział, że to nawet lepiej. Żadnych wielkich słów, tylko wielkie uczucia. Poza tym prawdą jest to, w co się wierzy, a on ma wystarczająco dużo poszlak. Jeśli moja wersja wydarzeń zabrzmiał przekonująco, nikt nam niczego nie zarzuci.

Nadkomisarz Endrikat miała już do czynienia ze sprawami, które szły jak po sznurku, jednak przypadek Bruhna przebiegał je wszystkie. Śledztwo pędziło gwałtownie niczym ekspres po torach w kierunku, z którego nie da się zbroczyć, nawet jeśli się próbuje. Niewiarygodne, jak w oczywisty sposób zmierzało do celu.

Cel nazywał się Günter Wagenlader.

Endrikat po raz pierwszy natknęła się na to nazwisko, kiedy pytała dyrektorkę Uniwersytetu Ludowego w Alte Mühle o szczegóły królewskiej wizyty z sześćdziesiątego piątego roku. „Warto porozmawiać z Wagenladerem”. Wagenlader, świadek tamtych czasów, dokumentował

całe wydarzenie i później na jego pamiętkę założył mały różany ogród na dawnym dworcu Lenningsen. Nadkomisarz zadzwoniła do niego, ale odbiła się od automatycznej sekretarki.

Zdążyła schować komórkę, kiedy wszedł Malenke i zameldował, że Bruhna widziano pamiętnego wieczoru w zajeździe Timmering. Na początku zaginiony odwiedził wystawę drobiu w sąsiednim pomieszczeniu, później poszedł coś zjeść. I to nie sam. Malenke zerknął do swojego notatnika.

– Z niejakim Günterem Wagenladerem. Widać było, że się znają. Razem opuścili zajazd około dwudziestej pierwszej piętnaście. Czas się zgadza. Bruhn musiał więc od razu skierować się w stronę przejazdu kolejowego.

Endrikat ponownie spróbowała dodzwonić się do Wagenladera i wysłała dwóch funkcjonariuszy do jego domu w Lenningsen. Potem nadeszła informacja, że odnaleziono czerwonego volkwagena. Śledczy powiedział, że wprawdzie nie chce uprzedzać wyników ekspertyzy, ale jeśli tym samochodem nie transportowano zwłok, to on dobrowolnie rezygnuje z emerytury. Auto stało w małym lasku w okolicy Lenningsen, niecałe dwieście metrów od domu Güntera Wagenladera.

– Nikt nie jest przecież na tyle głupi – stwierdził Malenke.

– Zazwyczaj nie – odpowiedziała Endrikat.

Chyba że ktoś jest wykończony, bo dopiero co zamordował człowieka. Już samo pozbycie się zwłok wymagało od niego nadludzkiej siły, a musiał jeszcze to zrobić z samochodem, zanim padnie na łóżko, by oddać się swoim koszmarom.

– Szukamy go? – zapytał Malenke.

Endrikat zawahała się. Zanim zdążyła odpowiedzieć, wszedł Kniebel.

– Mam coś! – wykrzyknął.

Nadkomisarz przyglądała się mu pytająco.

– Chodzi o łopatę – wyjaśnił. – Na jego miejscu pozbyłbym się narzędzia zbrodni możliwie jak najszybciej. I pomyślałem sobie, że może

sprawca zechce kupić nową. W Bönen nie ma zbyt wielu sklepów z narzędziami.

– I?

– Bez rezultatu. Ale ustaliłem coś interesującego.

– No mów wreszcie! – Malenke przewrócił oczami.

Jednak Kniebel nie kwapił się z odpowiedzią. Szczegółowo relacjonował, że niejaki Albert Schmidt naprawiał używaną łopatę. Ponieważ warsztat Schmidta znajdował się gdzieś za miastem, klient poprosił, żeby mógł ją odebrać wieczorem z jego domu. Na Körnerstraße, niedaleko przejazdu kolejowego. Pojawił się tam około dwudziestej pierwszej trzydzieści, a więc krótko przed zabójstwem.

– Czyżby ten klient nazywał się Günter Wagenlader? – zapytał Malenke.

Zdziwiony Kniebel przytaknął.

– Znajdźcie go! – krzyknęła Endrikat.

Nie należy mówić źle o zmarłych, jednak Bruhn był nieprzyjemnym człowiekiem. Śliski typ, jeśli wie pani, co mam na myśli. Nie był w stanie powiedzieć dwóch zdań bez bycia uszczypliwym czy protekcjonalnym wobec innych – obojętnie kim byli lub jakie mieli poglądy. Wręcz przeciwnie. Im bardziej godna szacunku postać, tym usilniej starał się zmieszać ją z błotem, które najwyraźniej uważał za swoje królestwo.

Widzi pani, pani komisarz, wcale przed panią nie udaję, że jego śmierć mną wstrząsnęła, ale nie powinna pani na tej podstawie zakładać od razu, że wyprawilem go na tamten świat. Nie jestem przecież mordercą! A nawet jakby było inaczej? Jaki miałbym powód, żeby brudzić sobie ręce?

Günter Wagenlader nawet nie próbował zniknąć. Może uznał, że ucieczka w wieku sześćdziesięciu dwóch lat przekracza jego możliwości. Może obawiał się, że ściągnie na siebie podejrzania. Może tak bardzo wierzył w słuszność tego, co zrobił, że było mu wszystko jedno. W każdym razie znaleźli go na dawnym dworcu Lenningsen. To Endrikat wpadła na pomysł, żeby tam pojechać. Nie wiedziała dlaczego, ale była przekonana, że kluczem do rozwikłania sprawy morderstwa Bruhna jest historyczna wizyta królowej.

W zabytkowym budynku dworca mieściło się teraz przedszkole. Kiedy nadkomisarz studiowała tablicę pamiątkową na ceglany murze, słyszała śpiewające w środku dzieci. Nie rozumiała słów, ale dzięki melodii rozpoznała piosenkę o zajączku w kopalni. Nie słyszała jej całe wieki.

Razem z Malenke obeszlili budynek wzdłuż płotu i przeszli przez dawne tory kolejowe, nieczynne od sześćdziesiątego ósmego. Po wschodniej stronie znajdował się dodatkowy budynek i kilka krzaczków bukszpanu, tworzących niedużą rabatę. Większość różanych krzewów znajdujących się z tyłu budynków została przycięta, tylko na kilku z nich trzymały się jeszcze białe zwiędłe kwiaty o bladoróżowym zabarwieniu. Latem musiały wyglądać wspaniale, ale był koniec listopada. Ziemia była mokra i ciężka.

Günter Wagenlader stał w gumowcach i opierał się o łopatę. Patrzył prosto w ich stronę.

– Panie Wagenlader, proszę to oddać! – Malenke wyciągnęła rękę.

– Właśnie sadzę – powiedział Wagenlader. Wskazał na kilka dopiero co posadzonych krzewów róż i trzy inne, znajdujące się jeszcze w doniczkach pod murem.

– To nie najlepsza pora roku na sadzenie – powiedział policjant.

Wagenlader się uśmiechnął.

– Dobrze pan użył ziemię? – zapytał Malenke. Potem szepnął Endrikat do ucha: – Założę się, że pod krzakami leżą zwłoki Bruhna.

Nadkomisarz kiwnęła głową. Wkrótce mieli się przekonać. Kilka minut niczego już nie zmienia.

– Co to za odmiana? – zagadnęła.

– Królowa Elżbieta – odpowiedział Wagenlader. – Wyhodowana przez Lammerta w pięćdziesiątym czwartym z okazji koronacji królowej.

– Panie Wagenlader, gdzie on stał?

– Kto?

– Specjalny pociąg. Wagon sypialny królowej.

Wagenlader uśmiechnął się ponownie.

– Na bocznicy. Jest od dawna zdemontowana.

– Gdzie? – dopytywała Endrikat.

– Przecież to bez znaczenia – powiedział Wagenlader.

– Proszę się przyznać! – wykrzyknął Malenke. – Ma pan pojęcie, co potrafi współczesna kryminalistyka? Wykopiemy zwłoki Bruhna i...

– Tylko nie zniszczcie mi róż!

– Obejrzymy łopatę, zbadamy ślady w jego samochodzie i gwarantuję panu, że...

– Oczywiście, kilka razy jechałem jego autem – przyznał Wagenlader. – Nie dawał mi spokoju.

– I dlatego pan go zabił? – zapytał Malenke.

Wagenlader pokręcił przecząco głową.

– Wyglądał na żywego, kiedy zegnałem się z nim na przejeździe tamtego wieczoru. Chciał wrócić do hotelu, a ja musiałem odebrać łopatę.

To był on! Na pewno to zrobił! I być może poszlaki wystarczą, żeby udowodnić mu morderstwo. A może nie. Sądy niechętnie wydają wyroki skazujące, jeśli nie mogą doszukać się motywu. Również Endrikat nie rozumiała, dlaczego ten miły, starszy pan rozbił czaszkę Bruhna.

– Kiepsko to wygląda, panie Wagenlader – powiedziała. – Jeśli chce pan wyjść z tego bez szwanku, będzie pan nam musiał wyjaśnić kilka rzeczy.

A więc nie znalazła pani zwłok pod moimi różami? Nie dziwi mnie to. Jak mówiłem, Bruhn był człowiekiem budzącym odrazę. Nawet gdybym go zabił, na pewno nie zakopałbym go w moim świętym gaju. Ale nie zabiłem. Dlaczego miałbym to zrobić?

Owszem, gdyby w historii Bruhna było choć ziarno prawdy, miałbym przynajmniej motyw! Gdybym rzeczywiście spędził z królową Anglii noc z dwudziestego piątego na dwudziestego szóstego maja sześćdziesiątego piątego roku, tak jak wmawiał mi Bruhn... Jednak nie ma na to dowodów. To doprawdy śmieszne. Ja, dziewiętnastoletni wówczas pomocnik dworcowy, i królowa? Jeśli mi pani nie wierzy, pani komisarz, proszę zapytać w Pałacu Buckingham.

Ale założmy czysto hipotetycznie, że to się wydarzyło, wówczas byłoby to wspomnienie, którego nie wyjawiałbym nikomu przez całe życie i zabrałbym je ze sobą do grobu. Czy jako wybranek królowej nie byłbym zobowiązany do ochrony jej dobrego imienia? Z tego, co wiem, jest wspaniałą kobietą. Delikatną, czułą, szlachetną. Nie zasłużyła na to, by obrzucać ją błotem.

Gdyby jednak się tak stało i gdybym w takiej chwili trzymał łopatę w dłoni, a ktoś z szyderczym śmiechem zapytałby mnie, jaka ona – królowa – była w łóżku, wtedy naprawdę mógłbym się na chwilę zapomnieć.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Krzysztof Matkowski

Korekta: Katarzyna Płońska, Ilona Skrzypczak, Katarzyna Kon

Weryfikacja: Joanna Gasińska, Marcelina Kopaczka, Anna Wybraniec,
Agata Bisiecka, Damian Szandecki

Szczytywanie: Aleksandra Machnowska

Sprawdzenie z oryginałem: Diana Stabryła

HAGEN, RÓWNINA 2

Tłum. Radosław Wójcik

Belmira Dos Santos zastanawiała się, dlaczego nie było jej w domu. I dlaczego szła po Równinie 2 w koszuli nocnej i z nożem w ręku. To nie była prawda. Wszystko było nieprawdą, nawet określenie „Równina 2”. Ludzie w Hagen tak to wprawdzie nazywali, ale to nie była równina, tylko wiadukt, po którym jeździły samochody. Dla Belmiry równina oznaczała płaską i rozległą krainę, taką jak w jej ojczyźnie, na północy Mozambiku. Rozciągały się tam pola manioku i trzciny cukrowej poprzetykane ostańcami skalnymi, które sprawiały, że tereny te wyglądały, jakby nie miały końca. Natomiast Hagen otaczały porośnięte lasem pagórki, często skąpane w szarej mgłę. Z kotliny pięły się w jej kierunku domy, jakby chciały w niej zniknąć. Obok okien jednego z takich domów przebiegał wiadukt, na którym piesi nie mieli czego szukać. Zwłaszcza nocą.

Asfalt na drodze też był szary. Obrazy artystek dało się zobaczyć tylko wtedy, gdy stało się pod wiaduktem. Tak czy inaczej, były nieprawdziwe. Błękit nieba, zieleń trzciny cukrowej czy ochra ziemi Mozambiku nie istniały już dla Belmiry. Jedyne istniejący kolor, który dostrzegała oprócz szarości, to intensywna czerwień.

Czerwień krwi.

Belmira zastanawiała się, dlaczego nie udało jej się wypuścić noża. Z daleka słyszała syreny policyjne. Szła dalej, potykając się, wysoko ponad skrzyżowaniem. Wokół było pusto. Nikt oprócz niej nie widział, że latarnie przy Obwodnicy Brandenburskiej rzucały krwistoczerwone światło.

Gdy opowie o tym później, nikt jej nie uwierzy. Nikt jej w nic nie uwierzy. Nawet jeśli zdoła wyrzucić nóż do przepływającej w pobliżu rzeki Volmy.

Z naprzeciwka nadjechał radiowóz na sygnale. Belmira zdziwiła się odrobinę, że kogut na samochodzie świecił na niebiesko. Stała w miejscu, gdy pojazd zatrzymał się kilka metrów przed nią. Wsiadło z niego dwóch policjantów, jednak żaden z nich nie podszedł bliżej.

– Proszę rzucić nóż! – krzyknął jeden z nich. Drugi wyciągnął pistolet.

Teraz wreszcie palce Belmiry rozluźniły uścisk. Nóż z brzękiem upadł na ziemię.

– Dwa kroki w tył! – rozkazał mężczyzna.

– Wszystko to nieprawda – powiedziała.

– Na Boga, co pani... – zapytał policjant.

– Chcę do domu. – Belmira wskazała kierunek, gdzie, jak przypuszczała, leży Afryka.

Kai Hasselmann miał ogoloną głowę i nosił kurtkę Thora Steinara. Przez długi czas nie chciał jednak określać siebie skrajnie prawicowym jedynie z tego powodu. Po prostu myślał o narodzie. W mieście takim jak Hagen, gdzie ciapaci stanowili trzydzieści cztery procent mieszkańców, obrona tego, co niemieckie, była cholernie ważna. I właśnie to zamierzali robić – on i Mark Sailer. Już samo mieszkanie z czarną w tym samym budynku wydawało się wystarczająco złe. W końcu adres to Obwodnica Brandenburska 7, a nie ulica Wagadugu albo aleja Fidzi.

Wyważyli drzwi mieszkania, bo nie mieli tak wysokiej drabiny, żeby pracować od zewnątrz. Równina 2 przebiegała dosłownie metr obok mieszkania na drugim piętrze budynku nr 7. Stamtąd można już było wystarczająco sięgnąć drążkiem teleskopowym. „Hagen jest niemieckie” – chcieli nasmarować grubymi, czarnymi literami na kolorowej bazgraninie, którą widać od dolnej strony wiaduktu. Kai Hasselmann nie nazwałby tego sztuką. Gwizdał na to, czy integracja tego wymaga, czy nie.

Skoro obcokrajowcy tak tęsknią za barwami swojej ojczyzny, to niech tam z łaski swojej wrócą. Oczywiście oprócz tych, którzy z zimną krwią zabili jego niemieckiego kolegę. Zawsze był za karą śmierci, a zwłaszcza...

– Tylko fakty, proszę! – powiedział przesłuchujący policjant.

– No przecież mówię! – wyszczał Kai Hasselmann. – To pisz pan: najpierw kobieta wyszła z mieszkania w koszuli nocnej i trzęsa się ze strachu, chociaż żaden z nas nawet jej nie dotknął. Mark tylko otworzył okno, a ja rozłożyłem drążek teleskopowy z pędzlem. Kiedy do kobiety dotarło, co chcieliśmy zrobić, zaczęła nas prosić, żebyśmy wybrali inne miejsce. Mark zaśmiał się tylko, ja chyba też. No, bo kto by pomyślał, że stara zeświruje przez coś tak głupiego.

Uniosłem pokrywkę od puszki z farbą i kiedy znowu spojrzałem w górę, czarna stała za Markiem z nożem do chleba w ręce. Krzyczę: „Mark!”, on się odwraca, a ona wbija w niego nóż. I to jak! Cholera, człowieku, to chyba prawda, że czarni mają zabijanie we krwi. Ze strachu przewróciłem puszkę z farbą. Ta rozlała się po wykładzinie, Mark uciskał ręką ranę w klatce piersiowej, a przez palce zaczęła mu przeciekać krew. Potem ta czarna dźgnęła go jeszcze raz i Mark poleciał do tyłu, przez parapet, wyleciał przez okno i już go nie było. Słysząc było tylko głucho „plask”, gdy spadł przed sklep z komputerami na dole. Pieprzona czarna dziwka wlaźła na parapet, jakby chciała skoczyć za Markiem, ale nie skoczyła, tylko chwyciła się barierki wiaduktu i przelazła przez nią jak mała. Dopiero wtedy mogłem się znowu ruszyć i od razu zadzwoniłem na policję!

Funkcjonariuszom wydało się mało prawdopodobne, żeby skin o nacjonalistycznych poglądach tuż po tym, jak cudzoziemka zadźgała jego kolegę, ograniczył się tylko do powiadomienia policji. Dlatego poprosili centralę o nagranie z telefonu alarmowego. W głosie Kaia Hasselmanna słysząc

było wprawdzie wzburzenie, jednak to, że dokładnie podał nazwisko i adres, zanim wydukał zgłoszenie, brzmiało trochę tak, jakby wcześniej przećwiczył całość kilka razy. Oczywiście, nie był to żaden dowód, co najwyżej trop, który tłumił nieprzyjemne uczucie, że ta spokojna, wåtła, pięćdziesięciodwuletnia obywatelka Mozambiku dopuściła się morderstwa. Ona sama milczała w tej sprawie. Powiedziała, że od momentu, w którym drzwi jej mieszkania zostały wyważone kopniakiem, nie pamięta nic.

Każdy przepytywany z sąsiedztwa mówił, że nie miała skłonności do przemocy. Trzeba jednak przyznać, że przez lata mieszkała całkowicie odizolowana i bała się wychodzić poza swoje cztery ściany. Zmieniło się to przy okazji projektu artystycznego, w ramach którego mieszkające w okolicy wiaduktu kobiety dwudziestu dziewięciu narodowości pytano o wspomnienia dotyczące ich ojczyzny. O kolory, światło, tkaniny, z których szyły sobie ubrania, zapach ziemi i śpiew ptaków. Dwie artystki przekształciły opowieści w abstrakcyjne sekwencje kolorów i naniosły je na beton Równiny 2. Na dolnej stronie wiaduktu można było od tej pory zobaczyć białoruskie niziny obok brazylijskiej dżungli, krasowe wzgórza Chorwacji przy wietnamskich tarasach ryżowych. I kawałek Mozambiku, który był na wyciągnięcie ręki z drugiego piętra budynku nr 7 przy Obwodnicy Brandenburskiej.

Mówiło się, że Belmira brała udział w projekcie raczej niechętnie, jednak tuż po zakończeniu można było zobaczyć, jak godzinami stoi przy otwartym oknie. Tak bardzo koncentrowała się na zielonych, czerwonych, żółtych płaszczyznach i uczuciach, które w niej wzbudzały, że zdawała się nie zwracać uwagi na spaliny i szum przejeżdżających po wiadukcie samochodów. Kilka dni później po raz pierwszy zagadnęła Turka, który sprzedawał artykuły spożywcze po drugiej stronie wiaduktu. Jak wygląda jego dom, Turcja? Czy mają tam ostańce skalne? I trzcinę cukrową, z której można wycisnąć pyszny sok?

Od tej chwili Belmira była jak odmieniona. Regularnie chodziła do księgarni Ilim Kitabevi obok swojego mieszkania, a gdy w azerskim Centrum Kultury miał miejsce wieczór filmowy, zapytała śmiało,

czy mogłaby wziąć w nim udział. Zaprzyjaźniła się z Kameruńczykami z Werdestraße i Chilijczykami z Wittekindstraße. Lubili ją marokańscy dilerzy narkotyków, lubili wietnamscy przemytnicy papierosów, lubiły ukraińskie dziwki. Dlatego że zawsze była otwarta i serdeczna względem wszystkich. A gdy ktoś pytał Belmirę, skąd pochodzi, chwyciła go za rękę, prowadziła pod sklep komputerowy przy Obwodnicy Brandenburskiej, wskazywała pokryte farbą powierzchnie wiaduktu i mówiła: „Stąd pochodzę. To jest moja ojczyzna”.

Mieszkańcy dzielnicy opowiadali to wszystko, żeby pokazać Belmirę w korzystnym świetle, choć początkowo nie zdawali sobie sprawy, że właśnie w ten sposób dostarczali prokuraturze motyw zbrodni potrzebny do wniesienia oskarżenia. Kobieta, która wiele lat temu opuściła swoją ojczyznę, myślała, że odnalazła jej skrawek w kolorach Równiny 2. To dało jej odwagę i siłę do rozpoczęcia nowego życia. Nawet tutaj, w zimnym, mglistym, niemieckim Hagen, w małym mieszkanku, obok okien którego nieustannie przejeżdżały samochody. I właśnie wtedy, kiedy sądziła, że rozpoczyna nowe życie, włamało się do niej dwóch nacjonalistów. Po to, by zniszczyć coś, co dopiero zaczynało się układać. Czy to nie normalne, że straciła głowę?

Policjanci również wykazali się pewnym zrozumieniem, mimo że została złapana z narzędziem zbrodni, na którym znajdowały się tylko jej odciski palców. Podczas przesłuchania funkcjonariusze starali się pomóc, między innymi pytając wielokrotnie, czy któryś ze skinów ją zaatakował. Wtedy mogłaby sięgnąć po nóż w obronie własnej. Belmira nie dostrzegła oferowanej szansy. Nic nie pamiętała. Podczas obdukcji nie stwierdzono, żeby była bita lub kopana. Tym sposobem zeznania jedyne go świadka, Kaia Hasselmana, stanowiły niepodważalny dowód. Belmira dalej siedziała w areszcie śledczym i czekała na proces, który nie zapowiadał żadnych większych niespodzianek.

Później już nie miało znaczenia, kto zwołał zebranie w azerskim Centrum Kultury. Kameruńczycy twierdzili, że miejsce i czas podały im Marokanki, które z kolei wskazywały na właściciela masarni Anadolu, gdzie regularnie robią zakupy. A on, starszy Ormianin z krzaczastą brodą, wyjaśnił znowu, że to Kameruńczycy prosili go, aby informował swoich klientów o zaplanowanym spotkaniu. Zrobił to z chęcią, ponieważ uważał Belmirę za nad wyraz sympatyczną osobę, ale również dlatego, że sam był zaczepiany przez obydwu skinów.

W każdym razie, po aresztowaniu Belmiry, w środę wieczorem, do małej świetlicy w Centrum Kultury przyszło około siedemdziesiąt osób. Nikt wprawdzie nie zadał sobie trudu, aby sporządzić listę obecności, ale z pewnością były tam reprezentowane prawie wszystkie z dwudziestu dziewięciu narodowości, które brały udział w projekcie „Tęsknota za Równiną 2”. Kilka Portugalek przyniosło samosy, Greczynka – faszerowane liście winogron. Podczas jedzenia Kameruńczyk zbierał datki do swojej czarnej wełnianej czapki. Chcieli opłacić Belmirze dobrego prawnika.

Następnie sąsiedztwo zadeklarowało niezłomną wiarę w niewinność Belmiry i otwarcie zasugerowało, że pomiędzy dwoma skinami, znanymi ze swojej brutalności, mogło dojść do kłótni, w trakcie której prawdopodobnie jeden zadźgał drugiego. Pewna Rosjanka o niemieckich korzeniach sformułowała oświadczenie. Kiedyś pracowała w Moskwie jako profesor retoryki, a teraz wykonywała papierkową robotę dla małego warsztatu samochodowego w dzielnicy Wehringhausen. Jej tekst spodobał się wszystkim, przyjęto go przez aklamację i miał zostać jak najszybciej przekazany funkcjonariuszom śledczym, zatrudnionemu adwokatowi oraz miejscowej prasie. W tym miejscu zakończyła się oficjalna część zebrania. Oczywiście później rozmawiano jeszcze o tym i tamtym, jednak temat Belmiry zszedł na dalszy plan.

To musiał być całkowity przypadek, że następnego dnia troje z nich udało się na policję, każdy z osobna. Pierwsza zjawiała się pracownica tureckiego biura podróży Cetin Aras i pokazała funkcjonariuszom pokwitowanie, potwierdzające, że Mark Sailer dwa dni przed śmiercią zarezerwował lot na Palma de Mallorca. Pierwszą klasą w jedną stronę. Następny był Meksykanin, José Barreras, który zeznał, że wykonał dla Marka Sailera kilka tłumaczeń z hiszpańskiego. Teksty miał ze sobą. Chodziło o oferty nieruchomości z internetu. Głównie luksusowe finki na Majorce. Gdy po południu w dzień morderstwa Barreras chciał przynieść Sailerowi tłumaczenia, spotkał tam jednak tylko Kaia Hasselmana. Ten wyglądał na dość zaskoczonego. Nie, w zasadzie to zaczął skakać z radości. Ale skąd José Barreras mógł wiedzieć, że Mark Sailer utrzymywał swoje plany migracyjne w tajemnicy przed współlokatorem?

Kilka godzin później, między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią, Kaia Hasselmana widziano w salonie gier Spiel-Arena, naprzeciwko swojego mieszkania. Zaczepił tam Abła Touré z Ghany, który przekazał tę informację policji: Był czarny, więc na pewno znał Belmirę Dos Santos. Tę, co wszystkim pokazuje z okna swoją małą, nabazgraną Afrykę. Ale się tego uczepliła, nie?

– Jasne – odpowiedział Touré. – To jedyne, co jej przypomina o Mozambiku. My, Afrykańczycy, jesteśmy przywiązani do naszej ojczyzny.

– Jak słodko – rzucił Niemiec, kiwnął głową i odszedł.

Hasselmann wyparł się tej rozmowy. Nie gadał z czarnuchami i nigdy w życiu nie był w tym grajdołku ciapatych.

– W takim razie skąd pan wie, że bywają tam głównie obcokrajowcy? – zapytał go funkcjonariusz.

– Bo po tej gównianej dzielnicy łążą tylko ciapaci! – wrzasnął przesłuchiwany.

Poza Ablem Touré zapamiętało go jednak jeszcze trzech Czechów, dwóch Polaków i właściciel salonu gier. Hasselmann był w złym humorze. Uderzał w jeden z automatów do gry z taką agresją, że w końcu go zniszczył.

W poniedziałek na komendę policji wpłynęło anonimowe zgłoszenie obwiniające Sailera i Hasselmanna o dokonanie trzy miesiące wcześniej spektakularnego włamania do Muzeum Emila Schumachera. Pierwotnie zakładano, że była za to odpowiedzialna doświadczona szajka o międzynarodowych powiązaniach i że dwanaście skradzionych dzieł już od dawna znajduje się w rosyjskich lub japońskich prywatnych zbiorach. W każdym razie nie wyglądało to na robotę dwójki chuliganów po podstawówce, którzy umilają sobie czas, prześladując obcokrajowców. Informacja niewątpliwie pochodziła od kogoś z wewnątrz, kto znał przebieg zdarzenia, dlatego złożono wniosek o nakaz sądowy w celu przeszukania mieszkania Kaia Hasselmanna. Nie znaleziono wielkich dzieł Schumachera, jak „Sodom”, „Pinatubo” czy „Subito”, za to natrafiono na jedną z dwóch mniej znanych prac. Podpisany rysunek, zatytułowany „G-3”, leżał zrolowany pod kanapą.

Kai Hasselmann nie potrafił wyjaśnić, jak dzieło się tam znalazło. Stanowczo zaprzeczał, jakoby Mark albo on mieli cokolwiek wspólnego z włamaniem. Tamtej nocy byli w domu. To jednak zakwestionowali sąsiedzi. Azerska rodzina, która mieszkała nad Centrum Kultury, dokładnie pamiętała, że obydwaj wrócili do mieszkania około czwartej nad ranem i wszczęli na ulicy taką burdę, że aż pobudziły się dzieci. Ojciec wyjrzał przez okno i rozpoznał zarówno Kaia Hasselmanna, jak i Marka Sailera. Prowadzili ożywioną dyskusję przy otwartych drzwiach furgonetki. Nie słyszał, o co chodziło, ale tutaj przyszła z pomocą grupa rumuńskich pracowników budowlanych, którzy tamtą letnią noc spędzali na brzegu Volmy, zamiast w zapuszczonej kwaterze, gdzie ulokował ich podwykonawca.

Hasselmann zwymyślał Sailera, że ten nie jest wystarczająco ostrożny. Rumuni nie zdziwili się zbyt mocno nocną aktywnością, a gdy zobaczyli duże, owinięte materiałem prostokąty, które potem wyładowano z samochodu, pomyśleli raczej o szybach niż o obrazach.

Gdy w końcu miesiąc później w sali 201 Sądu Okręgowego w Hagen rozpoczął się proces, prokurator odrzucił zarzut morderstwa wobec Belmiry Dos Santos. Zamiast tego oskarżył ją o nieumyślne

spowodowanie śmierci, przy czym sam nie wyglądał na przekonanego swoją argumentacją. Z kolei prawnik Belmiry wyraźnie rozkoszował się procesem. Był podstarzałym lewicowcem, którego numer telefonu niegdyś nosił ze sobą każdy anarchista kręcący się przy Centrum Kultury Pelmke. W międzyczasie z Hagen zniknęły organizacje lewicowe, a okazja do zmiżdżenia w sądzie młodego nacjonalisty nie nadarzała się zbyt często.

Adwokat z rozkoszą wprowadzał świadków obrony, aby w mowie końcowej, przy szeptach wielonarodowej publiczności, oznajmić, że jego zdaniem oskarżyciel publiczny popełnił dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze, powinien być to proces o morderstwo, po drugie, na ławie oskarżonych siedzi niewłaściwa osoba. Zeznania świadków pozwoliły uznać za więcej niż prawdopodobne, że Kai Hasselmann razem z Markiem Sailerem włamali się do Muzeum Schumachera i większość skradzionych obrazów upłynili. Mark Sailer chciał niewątpliwie zdradzić współnika i z całym łupem wyjechać za granicę. Gdy Kai Hasselmann się o tym dowiedział, zaczął szukać sposobu na zamordowanie Marka Sailera w taki sposób, aby nikt go o to nie podejrzewał.

– Przecież to kompletne bzdury! – wykrzykiwał Hasselmann. Awanturował się tak długo, aż sędzia usunął go z sali.

Adwokat kontynuował:

– Stosunek Hasselmanna wobec Belmiry Dos Santos był taki sam, jak do wszystkich obcokrajowców. Miała pecha, że mieszkała nad nim i że można jej było przypisać motyw. Obraz Mozambiku na Równinie 2 stanowił dla niej wszystko. Hasselmann namówił więc Marka Sailera, żeby włamali się do mieszkania mojej klientki w celu namalowania graffiti na wiadukcie. Aby to osiągnąć, rzucał uwagi o ksenofobicznym podłożu, które jednocześnie miały ukryć jego prawdziwe zamiary. Gdy Mark Sailer patrzył przez okno na wiadukt, Kai Hasselmann wziął nóż z kuchni, a wyrwana ze snu i śmiertelnie przerażona Belmira Dos Santos musiała niczym w koszmarze patrzeć, jak ten z zimną krwią zabija swojego towarzysza. Potem wytarł rękajeść noża, wcisnął go w rękę pani Dos Santos, zaciskając na nim mocno jej palce, wskazał w stronę okna i krzyknął:

„Jazda stąd!”. W ten sposób znalazła się na wiadukcie, trzymając w ręce nóż i nie wiedząc, co się jej przydarzyło. Nie wie tego do dzisiaj.

Adwokat odczekał chwilę, aby jego słowa zrobiły większe wrażenie, po czym rzucił spojrzenie prokuratorowi i powiedział:

– Nie wiem, czy to wystarczy do wniesienia oskarżenia przeciwko Kaiowi Hasselmannowi, ale jednego jestem pewien: ten, kto dalej uważa, że mojej klientce udowodniono zadżganie Marka Sailera, kpi ze wszystkich zasad naszego systemu prawnego.

Żaden z obecnych dziennikarzy sądowych nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio w izbie karnej ogłoszono wyrok w tak krótkim czasie. Belmira Dos Santos została uniewinniona z powodu braku dowodów.

Gruby, okrągły filar wiaduktu był owinięty papierowymi girlandami, na przemian w kolorach flag Niemiec i Mozambiku. Nad wejściem do domu przy Obwodnicy Brandenburskiej nr 7 wisiał ogromny papierowy transparent. Ormianin z masarni Anadolu, wskazał na niego i powiedział:

– „Witamy w domu!” napisane w dwudziestu dziewięciu językach. Wszyscy cieszymy się z twojego powrotu – wyjaśnił.

Tłum bił brawo, a Belmira Dos Santos, chociaż wiedziała, że powinna podziękować, nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Zerknęła na bok. W dół. W miejscu, gdzie leżały zwłoki Marka Sailera, stali teraz Marokanki i Kameruńczycy. Jeden z nich zbliżył się i szepnął Belmirze do ucha:

– Nie musisz się bać. Kai Hasselmann już tutaj nie mieszka. Przekonaliśmy go, żeby na zawsze zniknął z dzielnicy.

Belmira nie czuła strachu, nie czuła również ulgi. Nie czuła nic oprócz potwornej pustki, którą czasem przesywał niespodziewany ból. Jak dźgnięcie noża. Popatrzyła do góry. Tam, gdzie Równina 2

przebiegała obok okna na drugim piętrze. Przyglądała się kolorom na dolnej stronie wiaduktu. Wyblakły błękit, zieleń o żółtym odcieniu, pękająca ochra. Kiedyś wierzyła, że widzi tam bezchmurne niebo, falującą trzcinę cukrową i ziemię Mozambiku, ale to nie była prawda. To nie była jej ojczyzna, tylko plamy na szarym betonie, które nie miały z nią nic wspólnego.

Belmira się odwróciła. Nie słyszała, co wołali do niej Grecy, Azerowie i Peruwiańczycy. Musiała iść na policję, by złożyć zeznania. Przypomniała sobie. Jej kolory były inne. Szarość nocy i czerwień krwi.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Alicja Kietczewska

Korekta: Kinga Grodzka, Milena Macul, Ilona Skrzypczak

Weryfikacja: Jakub Moroński, Ilona Skrzypczak, Patrycja Pancierz, Anna Ziółkowska, Damian Szandeki

Szczytywanie: Anna Dudało

Sprawdzenie z oryginałem: Daria Mierzwa

PRZELATUJĄCE WRONY ZWIASTUJĄ DOBRY DZIEŃ

Tłum. Agata Łacińska

1

Gdy rano zadzwonił dzwonek do drzwi, Gregor Tauber stał w łazience i się golił. Musiał wyglądać śmiesznie z połową twarzy pokrytą pianką do golenia, jednak dwóch funkcjonariuszy policji kryminalnej, którym otworzył, nie dało niczego po sobie poznać. Przyglądali mu się z zakłopotaną miną i zanim jeden z nich otworzył usta, Gregor wiedział, że w końcu ją znaleźli.

– Nie żyje, prawda? – zapytał. – Moja córka nie żyje.

Funkcjonariusz przytaknął.

– Dziękuję – odpowiedział Tauber, nie wiedząc, za co podziękował.

Mechanicznie zamknął drzwi od mieszkania, poszedł z powrotem do łazienki i spojrział w lustro. Z pianką do golenia na twarzy wyglądał gorzej niż śmiesznie. Dzwonek do drzwi odezwał się ponownie. Dwukrotnie, bardziej niecierpliwie niż poprzednio.

– Idziesz? – Z sypialni dobiegł go zmęczony głos żony.

Gregor Tauber uczeplił się palcami umywalki, odchylił do tyłu i z całej siły uderzył głową w lustro. Usłyszał jeszcze rozpryskujące się szkło, a potem zapadła ciemność.

Obudził się w wykrochmalonej bieli szpitalnego łóżka. Zbadano go, opatrzone i otoczone opieką. Żona nie przyszła w odwiedziny. Na początku o nią nie pytał, później w końcu to zrobił. Dowiedział się od terapeuty, że w ten sam dzień, kiedy znaleziono zwłoki ich córki, popełniła

114 samobójstwo, połykając tabletki nasenne. Tauber zgodził się tymczasowo poddać intensywnej opiece na oddziale psychiatrycznym. Kiedy wypuszczono go po ośmiu miesiącach, morderca jego córki został już skazany na dożywocie. Gdy Tauber o tym usłyszał, jedynie pokiwał głową.

Stanowisko w firmie programistycznej wciąż na niego czekało. Szef powiedział, że nawet jeśli potrzebuje jeszcze kilku miesięcy, nie ma problemu. Tauber pokręcił głową i złożył wypowiedzenie.

Dlaczego doskonale opłacany informatyk w wieku czterdziestu trzech lat koniecznie chciał zostać fryzjerem? Tego nie rozumiał nikt, a już najmniej mistrzowie, do których w tej sprawie się zgłosił. Jednak upór doprowadził go do sukcesu. Odbił nauki, przeszedł praktykę i po latach zdał z wyróżnieniem egzamin mistrzowski. Krótco po tym wyprowadził się ze swojego miasta rodzinnego w Hesji nad Dolnym Renem. W mieście Willich przejął salon fryzjerski i dzięki ostatnim oszczędnościom doprowadził go do porządku. Przyjazna atmosfera, dobre położenie w pasażu blisko centrum, a w szczególności jego towarzyskie – ale nigdy przesadnie nadskakujące – zachowanie szybko zaowocowały napływem klientów.

Po stosunkowo krótkim czasie Gregor Tauber znał w nowym mieście wszystkich. O swojej przeszłości nigdy nie mówił i nikogo ona nie interesowała. Aby być poważanym, w zupełności wystarczyło wstąpienie do Związku Strzeleckiego ASV Willich 1886, zasponsorowanie miłorzębu japońskiego przy deptaku zabytkowej części miasta czy wspieranie rady parafialnej w przypadku problemów komputerowych. Poza tym Tauber w wolnym czasie chętnie jeździł na rowerze po terenach nad Dolnym Renem. Dokładnie jak większość jego sąsiadów, tyle tylko, że trasa ich wycieczek nie przebiegała wzdłuż murów zakładu penitencjarnego Willich w dzielnicy Anrath.

Thorsten Hasselmann został przeniesiony do zakładu penitencjarnego Willich na własne życzenie. Podanie rozpatrzone pozytywnie, ponieważ jego rodzice żyli w tamtejszej okolicy. Nie można było od nich wiele oczekiwać, biorąc pod uwagę trzygodzinny czas odwiedzin dwa razy w miesiącu i podróż do Hesji w tę i z powrotem. Z biegiem czasu okazało się, że Hasselmanna nie odwiedzali ani jego rodzice, ani nikt inny, ale teraz był przynajmniej na miejscu, a wobec tego, że skazano go na dożywocie, miał zostać w więzieniu przez co najmniej piętnaście lat. Przydzielono mu pojedynczą celę na drugim pięttrze skrzydła B.

To, że główny sekretarz wymiaru sprawiedliwości, Ernst Kupferer, na krótko przed przeniesieniem Hasselmanna został powołany na kierownika sektora B2, było czystym przypadkiem. Ale być może wyjaśniało to trochę, dlaczego sam Kupferer uważał swoje pierwsze przeniesienie za coś szczególnego. Nawet w ośrodkach zamkniętych nie codziennie dostaje się w przydziale tak brutalnego przestępcę jak Hasselmann. Jeszcze zanim przejrzał akta, kolega z izby szepnął mu, że nowy więzień zamordował i zgwałcił dziewczynę. I to w takiej właśnie kolejności.

– To jakiś psychol! – powiedział Kupferer.

– Zgodnie z wyrokiem jest całkowicie poczytalny – odpowiedział kolega.

W stosunku do więźnia sekretarz oczywiście nie dał niczego po sobie poznać. Traktował go z taką samą pełną dystansu uprzejmością, jak wszystkich innych. Hasselmann ze swojej strony nie dostarczał powodów do skarg. Całkowicie trzymał się zasad, podczas ćwiczeń sportowych nigdy nie przejawiał agresji i nie protestował, gdy mu oznajmiono, że cały dzień musi siedzieć zamknięty w celi, ponieważ mimo obowiązku pracy nie wystarczało zajęć dla wszystkich więźniów. W niedzielę chodził na msze do zakładowego kościoła znajdującego się w skrzydle D, a dwa razy w tygodniu przynosił sobie z więziennej biblioteki największą dozwoloną liczbę książek, za które również odpowiedzialny był Kupferer.

Kiedy Hasselmann w ciągu kilku dni przeczytał dwa tysiące stron trylogii „Millennium” Stiega Larssona, Kupferer nie mógł go nie spytać, jak podobała mu się powieść.

– Całkiem dobra – powiedział więzień i lekko się skrzywił. – Tylko...

Kupferer spojrział mu w oczy. Były szare.

– Kto spogląda w przepaść, może spróbować napełnić ją potokiem słów – powiedział Hasselmann. – Ale może też zrobić krok naprzód i...

– I?

– Polecieć – uzupełnił Hasselmann.

Chodziło mu o spadanie, w przepaść się spada – pomyślał urzędnik, jednak nic nie powiedział, przekręcił tylko klucz w drzwiach celi.

Gdy kilka miesięcy później zwolniło się miejsce pracy w bibliotece, Kupferer zaproponował Hasselmannowi jako odpowiedniego kandydata. Dyrektorka zgodziła się i od tej pory Hasselmann katalogował płyty DVD, dostarczał wskazane lektury do cel więziennych, prowadził rejestr wypożyczalni i proponował nowe nabytki. Tak się jakoś złożyło, że Kupferer rozmawiał z nim częściej niż z innymi więźniami. Na początku o książkach, później na inne tematy. Tylko przerażająca zbrodnia, której dokonał Hasselmann, pozostawała tematem tabu.

3

W poniedziałki wolne od pracy Tauber wstawał pół godziny później niż zazwyczaj, golił się i wskakiwał na rower. Najpierw jechał w kierunku kaplicy Mała Jerozolima na obrzeżach dzielnicy Neersen. Kościółek z imitacją Groty Narodzenia i Świętego Grobu był zamknięty, ale otoczony murem park w zupełności Tauberowi wystarczał. Majestatyczne drzewa ograniczały światło, ścieżki kończyły się w nieprzebytych zaroślach, ukryte między krzakami stacje drogi krzyżowej przypominały drogowskazy bez

podanego celu i nawet hałas komunikacji miejskiej na pobliskiej głównej ulicy w Neersen zdawał się udowadniać, że życie codzienne też można postrzegać jako nierzeczywiste. Kiedy jesienna mgła zacierała kolory, park kościelny przypominał jednocześnie niebo i piekło.

Gdy Tauber czuł całkowitą pustkę, jechał rowerem przez pola obok Brückhof w kierunku dzielnicy Anrath. Zostawiał rower obok zakładu penitencjarnego i chodził wzdłuż murów zewnętrznych. Były nowe, białe, gładkie oraz wysokie na sześć i pół metra. Stado wron wlatujące gdzieś do góry, gromadzące się w powietrzu i z głośnym krakaniem przelatujące nad murami więziennymi, zwiastowało dobry dzień. Jednak o tym nikt nie musiał wiedzieć.

W przeciwieństwie do innych pracowników cechu fryzjerskiego w Kreis Viersen, Gregor Tauber zwykł twierdzić, że nie docenia wolnych poniedziałków. Nie lubił się nudzić i nie wiedział, co począć w dzień powszedni, w który zazwyczaj się pracuje. Przyznał się do tego koledze, który w poniedziałki dorabiał sobie w zakładzie penitencjarnym. Dostawał tylko pięć euro za ostrzyżenie jednego więźnia, więc interes nie był zyskowny, jednak kolega trzymał się tej pracy.

117

4

Biurko głównego sekretarza wymiaru sprawiedliwości Kupferera było trochę większe, a sztucce, stojące obok umywalki w pustej puszcze po kawie, zrobiono z solidnego metalu, a nie plastiku. Poza tym biuro na poziomie B2 nie różniło się niczym od sąsiednich cel. Nic dziwnego, było w końcu jedną z nich, tyle że przekształconą. Wprawdzie Kupferer spędzał tam jedynie osiem godzin dziennie i mógł wyjść do biblioteki lub na dziedziniec, kiedy tylko chciał, jednak czasami zadawał sobie pytanie, czym tak naprawdę różni się jego codzienność od codzienności więźnia.

Może dlatego nauczył się trzy razy w tygodniu chodzić na basen De Bütt w Willich, żeby popływać. Przez większość dni basen był otwarty

od siódmej do dwudziestej drugiej, więc pomimo pracy na zmiany zawsze znalazł ku temu okazję. Najchętniej jednak wybierał się tam w godzinach, kiedy przychodziło wielu ludzi, nawet jeśli przez to nie mógł swobodnie pływać po swoim torze. Gdy robiło się zbyt tłoczno, zasiadał pod sztuczną palmą na końcu pływalni i przyglądał się nastolatkom odprawiającym swoje rytuały: chłopcom i dziewczynom szturchającym i podtapiającym się wzajemnie, szukającym kontaktu fizycznego i jednocześnie reagującym na niego z udawanym oburzeniem. Po jakimś czasie Kupferer wstawał i szedł pod prysznic. Odkręcał wodę, najpierw gorącą, później lodowatą, tak długo, aż miał wrażenie, że odmraża sobie kości. Miało to korzystny wpływ na krążenie.

Co go skłoniło pewnego dnia, aby opowiedzieć Hasselmannowi o nieletnich dziewczynach w bikini – tego nie wiedział. Więzień rzucił mu przelotne spojrzenie, krzywo się uśmiechnął i ponownie pochylił nad powieścią, którą akurat opraciał. Starannie złożył obwolutę i skleił ją taśmą klejącą od wewnętrznej strony okładki. Niespodziewanie Kupferer poczuł, że ma dość i warknął:

– Koniec na dzisiaj! Natychmiast z powrotem do celi!

5

– To nasz pierwszy urlop od lat. Właściwie nie stać mnie na to, ale co byś zrobił, gdyby twoja żona nieustannie suszyła ci głowę o wyjazd na Majorkę?

Tauber współczująco pokiwał głową.

Trzy tygodnie – pomyślał. Trzy poniedziałki.

Średnio mężczyźni obcinali włosy co dziesięć tygodni. Potrzebował szczęścia, mnóstwo szczęścia. Powiedział:

– Jeżeli mógłbym jakoś pomóc...?

Kolega zgasił papierosa w popielniczce. Lodziarnia przy rynku w Willich była jednym z nielicznych lokali, we wnętrzu których nie

obowiązywał zakaz palenia. Przed oknami rozpościerała się październikowa mgła sprawiająca, że fasada kościoła Świętej Katarzyny była ledwie widoczna.

– Mógłbym przejąć twoje terminy w więzieniu – zaproponował Tauber.

– To szlachetne z twojej strony – odparł kolega. Zapalił kolejnego papierosa.

– Musiałbyś mnie jedynie zapowiedzieć jako twojego zastępcę, czy jak to działa.

– Damy radę – odrzekł znajomy i faktycznie tak się stało.

Kiedy dwa tygodnie później Tauber stał przed bramą zakładu penitencjarnego i podawał swój dowód osobisty przez szybę pancerną, funkcjonariusz tylko skinął głową. Drugi, znudzony, sprawdził jego nożyczki i przyrządy do cięcia, zanim wprowadził go przez podwójną śluzę. Minęli pokoje odwiedzin oraz izbę, w której śmierdziało zatęchłym praniem. Ciężkie drzwi otworzono i szybko ponownie zamknięto. Tauber znalazł się na dziedzińcu przed bramą zewnętrzną numer 1, prowadzącą do starej części zakładu. Z tyłu mieścił się czteroskrzydłowy budynek, w którym były cele dla mężczyzn. Nad dachem przeleciało kilka wron. To będzie dobry dzień.

Tauber podążał za funkcjonariuszem i myślał, że niekoniecznie musi mieć dziś szczęście. Cekał długo i może poczekać jeszcze dłużej. Przeszli przez następne drzwi, wspięli się po schodach. Jeden z więźniów w roboczym kombinezonie mył podłogę. Wzdłuż kolejnych pięter ciągnęły się wejścia do cel. Ściany pomiędzy nimi były przeszklone aż po sam dach. Zanim weszli do centralnej części budynku, funkcjonariusz otworzył jedną z cel po lewej stronie. Na ścianie przymocowane było ogromne lustro. Przed umywalką stało stare, pokryte czerwonym skajem krzesło fryzjerskie.

– Tutaj? – spytał Tauber.

Funkcjonariusz wykonał zamaszysty gest ręką i powiedział:

– Salon fryzjerski Willich w pierdlu. Lepiej nie będzie.

Tauber położył swoje przybory przy umywalce. Grzebień, nożyczki, maszynkę do golenia i szarą pelerynę przypominającą całun. Czekając na pierwszego więźnia, spojrzął w lustro.

6

Zdarzały się dni, kiedy więzień bezgranicznie denerwował Kupferera, ale też takie, gdy rozumieli się jak bracia. Kupferer wiedział, że to zależy od niego, ponieważ Hasselmann zawsze zachowywał się tak samo: był zrównoważony, raczej mało mówny i w pewnym sensie ostrożny. Tak jakby musiał się stale kontrolować, aby na jaw nie wyszła jego prawdziwa natura. To, że drzemała w nim jakaś potworna ciemność, Kupferer wyczuł od razu. I nie tylko dlatego, że studiował akta dotyczące zbrodni Hasselmanna z najdrobniejszymi szczegółami.

Czasami próbował dotrzeć do tej mrocznej tajemnicy okrężną drogą. Był poniedziałek, początek listopada, kiedy zapytał:

– Hasselmann, co zrobisz w pierwszej kolejności, jak cię wypuszczą?

– Nie wypuszczą mnie.

– Ale gdyby cię wypuścili?

– Nie wiem.

– Nie żartuj, czegoś na pewno sobie życzysz. Albo chociaż sobie wyobrażasz.

Hasselmann podniósł wzrok znad fiszek, które segregował. Uśmiechnął się szyderczo. Wcale nie wyglądał na wesołego.

– Chyba byś znowu nie...?

Więzień oparł się na krześle i zaśmiał bezczelnie.

– To by się panu spodobało, co?

Jemu? Spodobało? Kupfererowi odebrało mowę. Na co ten gość sobie pozwalał? Jak z nim rozmawiał? Bądź co bądź sekretarz nadal pozostawał urzędnikiem sądowym. Z kimś takim jak morderca nie miał

nic wspólnego. Teraz zemściło się na nim to, że zawsze traktował tę perwersyjną świnię przyjaźnie. Ale koniec z tym! Raz na zawsze.

Pociągnął Hasselmanna za ramię, każąc mu wstać.

– Do celi! O wizytach u innych więźniów i pracy w bibliotece możesz zapomnieć!

Hasselmann, nie stawiając oporu, pozwolił się zamknąć. Szkoda, bo Kupferer chętnie dałby mu w mordę. Złość długo mu nie mijała, nawet gdy kolega Stein zgłosił się do jego biura, by wziąć Hasselmanna do fryzjera.

– Nie – odparł Kupferer. – On dzisiaj nie idzie.

– Ale jest na liście – zaproponował Stein.

I choćby widniał na tej liście po stokroć, Hasselmann poczeka, tak długo jak on, główny sekretarz wymiaru sprawiedliwości Kupferer, uzna za stosowne. Nawet jeśli to będą lata. Żadnych przywilejów, żadnego fryzjera. Choćby miał zapuścić włosy do ziemi! Choćby miał wyglądać jak pieprzony Yeti, którym wszak w rzeczywistości był!

– Postępowanie dyscyplinarne – powiedział Kupferer.

Stein wzruszył ramionami i odwrócił się.

– Zaczekaj! – zawołał za nim sekretarz.

Zerknął szybko w lustro wiszące nad umywalką. Czy on sam przypadkiem nie potrzebował strzyżenia? Nie chciał przecież wyglądać jak Yeti. Jeśli Stein będzie współpracować, musiałby jedynie narzucić na siebie niebieski kombinezon, znaleźć się na miejscu Hasselmanna i obciąć sobie włosy na koszt państwa.

– Jeżeli Hasselmann jest na liście, oczywiście musimy to jakoś załatwić – powiedział.

Okno było okratowane i zamknięte, szyba zaparowana. Niewiele dało się zobaczyć, ale Tauber był pewien, że na zewnątrz mignęła mu przeleatująca wrona.

– Tniemy na krótko, bardzo krótko – powiedział mężczyzna, kiedy fryzjer zawiązywał mu pelerynę na szyi.

Widział jedynie jego zdjęcia. Czarno-białe zdjęcia. Na byle jakim papierze gazetowym. Tak naprawdę nie rozpoznałby go po tylu latach. Jednak zapytał o nazwisko i jedno spojrzenie w oczy wystarczyło, żeby być pewnym, że przed nim siedzi potwór. Monstrum, które dawno temu zniszczyło mu życie.

Tauber się zawahał. Nigdy się nie zastanawiał, czy powinien pozwolić się rozpoznać. Jakich słów...

– Tnie pan czy nie? – zapytał mężczyzna na krzesle.

– Oczywiście, panie Hasselmann – odparł Tauber i z całych sił przeciągnął ostrzem nożyc po gardle mężczyzny.

Raz, drugi, trzeci. Aż charczenie ustało, a tryskającej na wszystkie strony krwi robiło się coraz mniej. Aż urzędnik sądowy wpadł jak burza do pomieszczenia. Aż wytrącił mu nożyce, wykręcając ręce do tyłu.

Pomimo hałasu, jaki nagle rozpętał się dookoła, Gregor Tauber usłyszał za oknem krakanie wron. I wówczas wiedział, że to był dobry dzień.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Karolina Grzeszczak

Korekta: Magdalena Żurawska, Ilona Skrzypczak, Maria Bernaciak

Weryfikacja: Agata Bisiecka, Anna Twarowska, Joanna Gasińska, Paulina Grzybowska, Damian Szandecki

Szczytywanie: Ilona Skrzypczak

Sprawdzenie z oryginałem: Izabela Pogwizd

BAD FEILNBACH, PO PROSTU

Tłum. Justyna Sadowska

Café Moosmühle znajduje się na obrzeżach Bad Feilnbach⁷ i właśnie dlatego można odnaleźć tutaj ciszę i spokój. Gdy już wreszcie kumple siedzą przy stole, Rottmann Toni czuje, że robi mu się lżej na sercu. Może to zasługa pięknego widoku, a może łagodnego plusku wody.

– Serwus – pozdrawia ich Rottmann Toni, rozpinając kurtkę.

– Serwus – odpowiada Heinzl.

Rieke pracujący w Stowarzyszeniu Turystycznym i Ettmoser z zarządu uzdrowiska kiwiają tylko głowami. Wszyscy trzej kończą już swoje pszeniczne, ale Toni nie wie, czy to ich pierwsza kolejka. Wie tylko, że koniecznie musi się napić.

– Resi, dla mnie jego piwo! – krzyczy w kierunku otwartych drzwi gospody.

– Nie moje, tylko takie samo – poprawia Heinzl. – Bo mojego nie dostaniesz.

Kiedy na dworze robi się zimno lub szaleje wichura, Toni i jego koledzy siedzą w środku, ale w tak słoneczny, wczesnoletni dzień jak dziś byłby to po prostu grzech. Toni opada na drewnianą ławkę tuż obok drzwi. Oprócz ich stolika zajętych miejsc jest tylko kilka. Zdaje się, że to sami turyści.

Nad należącym do gospody stawem pełnym pstrągów znajduje się fontanna. Woda rozpryskuje się u wierzchołka i spada z powrotem grubymi kroplami. W tle widać szczyt Wendelstein. Chciałoby się powiedzieć – drągał stojący pewnie na ziemi dwiema nogami, tyle że góra nie ma przecież nóg. Przy dobrej widoczności można dostrzec na szczycie

7 Bad Feilnbach to miejscowość i zarazem gmina uzdrowiskowa w Niemczech, w kraju związkowym Bawaria (przyp. tłumacza).

antenę telewizyjną. Niebo jest tak błękitne, jak w hymnie Bawarii. Życie jest piękne. Przynajmniej z zasady.

Toni wyciąga nogi przed siebie i zwraca się do Heinzla:

– I?

– Co i? – pyta Heinzl.

– Zrobiłeś go już? – dopytuje Toni.

– Prawie, tylko lakier musi jeszcze wyschnąć.

– Przy takiej pogodzie żaden problem – stwierdza Ettmoser.

– Od biedy mogę wziąć za niego dziewięćset osiemdziesiąt euro – mówi Heinzl. Od czasu kiedy zadłużył się, by móc kupić pensjonat Schwaiger, zrobił się dość bezczelny w kwestii cen w swoim warsztacie.

– Aha, dziewięćset osiemdziesiąt euro. A kto płaci? – pyta Toni.

Kiedy Resi podaje mu piwo, nie patrzy jej w dekolt, tylko na dłonie i piękne, długie, delikatne palce.

– Do kogo jeszcze należy auto? – Heinzl próbuje piwa, ale natrafia na niewłaściwe.

Toni bierze kufel do ręki, pociąga duży łyk, odstawia naczynie z powrotem na stół.

– No, ja na pewno nie płacę. To był, że tak powiem, wypadek podczas pełnienia służby.

– Co prawda, to prawda – rzuca Ettmoser i patrzy w stronę Riekego.

Heinzl również patrzy na niego. Tylko Toni spogląda ponad stawem w kierunku szczytu Wendelstein. Kiedy się wreszcie odzywa, mówi przesadnie poprawnym językiem, który dla niego samego głupio brzmi.

– Dla dobra ogółu.

– Nie mogę tego zrobić. – Rieke potrząsa energicznie głową. – Jak mam to niby zaksięgować?

– Taaa, nie możesz... – mówi Ettmoser.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia w tym swoim stowarzyszeniu czy nie masz? – pyta Toni.

– Ale to nie może iść na rachunek – odpowiada pojednawczo Heinzl.

Uśmiech znika z twarzy Riekego, nie mówi jednak nic, ponieważ Resi pyta, czy podać coś do jedzenia. Może pięknego smażonego pstrąga? Lub też podroby wołowe na kwaśno z knedlami? W karcie dnia znajdują się dzisiaj cielęce serca ze smażonymi ziemniakami. Do tego delikatny sos chrzanowo-jabłkowy, zrobiony oczywiście z tutejszych niepryskanych jabłek, a mięso prosto od Hubera.

– Mam nadzieję, że raczej od jego bydłątek – żartuje Heinzl.

Ettmoser i Toni śmieją się i wszyscy trzej proszą o cielęce serca. Tylko Rieke myśli najwidoczniej cały czas o pieniądzech, ponieważ nie zamawia nic do jedzenia. Zamiast tego prosi o kolejne jasne.

Toni pociąga łyk.

Takie piwo robi dobrze, a jak potrafi poprawić humor... Smakuje jeszcze lepiej, gdy taka schludna osoba jak Resi przyniesie je i postawi na stole – myśli i ociera usta ręką.

– Umówmy się na siedemset pięćdziesiąt euro – mówi Heinzl. – Co prawda wtedy pracowałbym praktycznie za darmo, ale sprawa jest tego warta.

– Musicie ciągle gadać o pieniądzech? – pyta Ettmoser. – W taki piękny dzień?

Woda z fontanny uderza jednostajnie o taflę stawu. Torfowisko błyszczący soczystą zielenią. Na trasie rowerowej między Jeziorem Bodeńskim a Królewskim widać grupę rowerzystów w krzykliwych kolorowych trykotach, jadącą w kierunku zachodnim. Turyści w koszulkach z krótkim rękawem spacerują po dzikim sadzie. Bad Feilnbach, strzeżony przez dwa szczyty, wygląda, jakby wyskoczył wprost z obrazu Wilhelma Leibla. Pękata wieża kościoła pod wezwaniem Serca Jezusa wznosi się wysoko ponad dachami, a domy zdają tulić się do siebie.

Czerwone dachówki, osmagane słońcem gonty, drewniane balkony, bielone ściany... No, pięknie tu mamy – myśli Toni i spogląda raz jeszcze w kierunku Domu Opieki Świętego Łukasza, którego nie można stąd dostrzec.

– Chcecie wiedzieć, co dokładnie napisał? – Toni wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki kartkę papieru. Zanim zniszczył pendrive’a, zdążył jeszcze wydrukować cały tekst.

– Kto? – pyta Rieke ze Stowarzyszenia Turystycznego.

Jakby tego dokładnie nie wiedział... – myśli Toni.

Starannie rozwija kartkę i zaczyna czytać:

– „Bad Feilnbach jest schludną, czarującą i przyzwoitą miejscowością. Nie znajdzie się tu ogrodu, który nie mógłby wziąć udziału w konkursie »Uczyń naszą miejscowość jeszcze piękniejszą«, czy też fasady starej kamienicy, która nie została by troskliwie odnowiona. Z wypucowanych na błysk chodników można byłoby jeść, gdyby nie różnorodność knajpek mających wiele do zaoferowania swoim gościom. Sama okolica, Przedgórze Alpejskie, to sielanka w czystej postaci. Trzydzieści tysięcy jabłonek i stosunkowo łagodny klimat sprawiły, że pewien pomysłowy agent turystyczny wylansował to miejsce na Bawarski Meran”...

– Na miłość Boską! – woła Rieke.

– Co prawda, to prawda – mówi Ettmoser.

– Jesteś jakiś nienormalny, że nosisz to ze sobą? – pyta Heinzl.

Toni nie przejmuje się tymi słowami. To był pech, że przy losowaniu trafił akurat na asa kier. Bez słowa skargi wzięła całą odpowiedzialność na siebie, a teraz czuje tylko potrzebę poukładania sobie tego wszystkiego w głowie raz jeszcze, nawet jeśli inni chcieliby jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie. Toni się nie martwi. Już on dopilnuje, żeby ta kartka nie wpadła w niepowołane ręce. Czyta dalej, może nieco ciszej niż wcześniej:

– „Ale nawet tutaj, w tym pięknym, nieskazitelnym świecie na bawarskiej wyżynie, wszystko ma swoją cenę. Ktoś przecież musi ponosić koszty szlaków turystycznych i kwitnących róż, oczyszczania miasta i malowideł na fasadach. Tym kimś są turyści. Trzysta trzydzieści tysięcy noclegów na rok sprawiło, że przemysł turystyczny stał się jedną z najważniejszych gałęzi gminnej gospodarki, co drugie miejsce pracy zależy, pośrednio lub bezpośrednio, od niej. Mieszkańcy Feilnbach doskonale wiedzą, komu zawdzięczają swój mały raj. W każdym razie

nikt nie powie głośno złego słowa pod adresem bogatych »Prusaków« i innych zagranicznych turystów. Z jednego gościa byliby jednak skłonni zrezygnować”...

– Długo jeszcze? – pyta Ettmoser.

– Nie, to już za moment – odpowiada Toni. Dopiero po chwili orientuje się, że Ettmoser zwracał się nie do niego, tylko do Resi, z którą rozmawia o zamówionym jedzeniu.

– Chwilę musicie jeszcze poczekać – mówi Resi w przelocie. Jej ludowa sukienka ociera się o krzesło Ettmosera, szeleszcząc.

Ta Resi to naprawdę zgrabna kobietka. Z przodu i z tyłu – myśli Toni.

Kiedy Resi znajduje się poza zasięgiem głosu, czyta dalej:

– „Poza tym John Demjanjuk nie zrobił nic złego żadnemu z mieszkańców. Tylko Żydom, Rosjanom, Polakom, Czechom i innym swoim ofiarom w nazistowskim obozie zagłady w Sobiborze. Dwunastego maja ubiegłego roku Bawarski Sąd Krajowy w Monachium skazał Demjanjuka na pięć lat pozbawienia wolności za współudział w morderstwie ponad dwadzieścia osiem tysięcy ludzi. Mimo to opuścił on sąd jako wolny człowiek i zaraz po tym pojawił się w pięknym Bad Feilnbach, by czekać na postępowanie w rewizji nadzwyczajnej, o które wnosił jego obrońca.

John Demjanjuk ma dziewięćdziesiąt jeden lat, problemy z chodzeniem, wymaga opieki i nigdy nie pojawia się w mieście. Kto opłaca jego pobyt w Domu Opieki Świętego Łukasza? Tego kierownictwo nie zdradza. Zostałem poinformowany, że mogę rozmawiać z nimi o wszystkim – najchętniej o tradycjach czy pięknie przyrody Przedgórza Alpejskiego – tylko niestety nie o ich podopiecznych. Szczególnie nie o tym jednym. Etyka zawodowa, obowiązek zachowania tajemnicy. To tak, jakby żądać od papieża unieważnienia tajemnicy spowiedzi. Na tym audiencję uznaje się za zakończoną.

Również od innych mieszkańców Bad Feilnbach nie można uzyskać więcej informacji. Właściciel jednego ze sklepów, który pragnie pozostać anonimowy, martwi się o reputację gminy. Starsza pani twierdzi, że nie darzy szczególną sympatią zbrodniarzy wojennych. Obydwoje

jednak nie są w stanie pojąć, dlaczego robi się tyle szumu wokół osoby Johna Demjanjuka i sprowadza reportera aż z odległego Hamburga. Inni machają ręką, dając do zrozumienia, że nie są zainteresowani rozmową, nie mają czasu lub muszą teraz pilnie udać się na zakupy. Może po krasnale ogrodowe lub sadzonki róż, by ich ogródki wyglądały jeszcze pięknie. Pytam hotelarzy, aptekarzy, księży, gorzelników, w wypożyczalni rowerów, ale zbieram jedynie wymówki, milczenie i wzruszanie ramionami.

Dziennikarz rzadko osiąga coś poprzez prowokację, jednak nadzwyczajna sprawa wymaga nadzwyczajnych środków. Wyliczam ludziom, że pięć lat pozbawienia wolności, nawet gdyby zostały odsiedziane do samego końca, to nie więcej niż tysiąc osiemset dwadzieścia pięć dni. Przy dwudziestu ośmiu tysiącach ofiar oznacza to, że jeden dzień aresztu odpokutuje około piętnaście i trzy dziesiąte morderstw lub innymi słowy – jedna zbrodnia nie zostanie ukarana nawet trzydziestoma minutami pobytu w areszcie”.

– Nie możemy nic na to poradzić – mówi Rieke. – Powinien był złożyć skargę do Bawarskiego Sądu Krajowego w Monachium.

Toni, nie zwracając uwagi na kolegę, czyta dalej:

– „Mieszkańcy Feilnbach nie ponoszą odpowiedzialności za łagodny wyrok, słyszę. Dwadzieścia osiem tysięcy zamordowanych, mówię, to cztery razy tyle, ile liczy wasza zaszracona gmina – starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, każdy, kto tu żyje teraz, plus generacja waszych zmarłych dziadków, plus jeszcze jedna przed nią i jeszcze kolejna. A wy milczycie? Żadnego zebrania obywateli, żadnej demonstracji przed domem opieki, żadnego oficjalnego protestu? Nic? Tak, John Demjanjuk jest przecież starszym, schorowanym człowiekiem i cała sprawa, jak to się tutaj mówi, wydarzyła się prawie siedemdziesiąt lat temu. Ale czy jest to wystarczający powód, by zamiatać poczucie odpowiedzialności pod dywan?”

– Demonstracje wcale nie są takie dobre – mówi Heinzl. – Nie mieszkamy przecież w berlińskim Kreuzbergu⁸.

8 Kreuzberg – jedna z najludniejszych dzielnic niemieckiej stolicy (przyp. tłumacza).

– Kuracjusze szukają tutaj spokoju i odpoczynku. Nie chcą słuchać krzyków demonstrantów i patrzeć na lecące koktajle Mołotowa – odpowiada Rieke.

– Słuchajcie, co jest dalej! – Toni chrząka i kontynuuje: – „Powiniennem napisać reportaż o tym, jak mała bawarska miejscowość obchodzi się ze zbrodniarzem wojennym, który niespodziewanie pojawia się w Bad Feilnbach. A w zasadzie, jak się z nim nie obchodzi. Powoli zadaję sam sobie pytanie, czy jest to przypadek, że John Demjanjuk akurat tutaj szukał schronienia. Człowiek nabiera ochoty, by wdrapać się po ślicznym drewnianym ogrodzeniu do zadbanych ogródków i kopać pod ciemiernikami w poszukiwaniu zagrzebanych zwłok. Lub skuć kilofem napisy z fasad domów, by sprawdzić, czy pod spodem nie ukrywają się wyblakłe swastyki. Takie przypadki już się zdarzały. Równie niechętnie jak o Johnie Demjanjuku mówi się o Benedykcie Schachleiterze, który w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku także pojawił się w Bad Feilnbach, mieszkając w nim aż do swojej śmierci. Alban Schachleiter, nazistowski ksiądz, ludowy podżegacz i bliski przyjaciel Adolfa Hitlera, który osobiście go tutaj odwiedzał”...

– Stare dzieje – stwierdza Heinzl. – Zamiast tego można przecież napisać o Wilhelmie Leiblu i Malerwinkel⁹!

– My sami nie byliśmy ani mniej, ani bardziej nazistami niż pozostali – mówi Ettmoser.

– Wtedy może i tak – wtrąca Rieke. – Ale teraz nie trzeba o tym mówić. Nie ma tu już ani jednego nazisty. Jesteśmy otwarci na świat, gościnni i tolerancyjni. Z przekonania.

I to właśnie z powodu turystyki, bez której cała ta miejscina zeszlaby na psy – dodaje w myślach Toni, bo nie potrzebuje tego mówić na głos. To się rozumie samo przez się.

– Proszę, panowie! – nadchodzi Resi i podaje cielęce serca.

Trzy pokaźne kawałki mięsa pokrojone w poprzek i w środku jeszcze lekko czerwone. Toni pyta sam siebie, czy z mięsa wypłynie kropla

⁹ Malerwinkel – punkt widokowy nad Jeziorem Królewskim (Königsee) (przyp. tłumacza).

krwi, gdy naciśnie mocniej palcem. Talarki ziemniaków są przysmażone na złotobrązowy kolor na dużej ilości masła. Dokładnie tak, jak powinny. Z miseczek z sosem chrzanowo-jabłkowym wydobywa się aromatyczny owocowy zapach, przez który przebija się obiecująca ostra nuta.

– Smacznego – życzy Resi swoim dźwięcznym głosem.

– Smacznego – mówi Heinzl.

– Smacznego – odpowiada Toni.

Wkłada kartkę z powrotem do wewnętrznej kieszeni kurtki. Resztę tych wypocin może równie dobrze przeczytać po jedzeniu. Teraz tylko odebrałoby im to apetyt. Ettmoser wyciąga sztucze z papierowej serwetki, a Heinzl zabiera się już za zasmażane ziemniaki.

– *Tabula rasa* bez względu na konsekwencje! – Rieke denerwuje się, być może dlatego, że nie zamówił nic do jedzenia i teraz musi patrzeć, jak pozostali się opychają. – Człowiek przyjeżdża do nas z Hamburga, nie ma zielonego pojęcia o czymkolwiek, wymyśla sobie jakąś sensację, która sensacją nie jest, i guzik go obchodzi, że przez to może zmarnować wiele lat ciężkiej pracy. Naszą reputację, infrastrukturę turystyczną...

– Mówicie teraz o tym reporterze ze „Spiegla”? – pyta Resi.

– Nie, o Duchu Świętym – odpowiada Heinzl z pełnymi ustami.

– Czy już wiadomo, jak to się stało?

– Pijany był i tyle. W środku nocy szedł slalomem po drodze i rozjechało go auto. Prawda, Toni?

Toni delektuje się smakiem soczystego mięsa, odkłada widelec i nóż na brzeg talerza, wyciera usta serwetką, jednym głębokim haustem opróżnia kufel, poprawia odrobinę słuźbową marynarkę, bo nie jest teraz w stanie zapiąć guzików, i w końcu odpowiada:

– Tak właśnie było.

– Ale kto go przejechał, jeszcze nie wiecie? – dopytuje Resi.

– Jakiś inny pijany, myślę – odpowiada Toni. A że pyta o to Resi, to dodaje urzędowo-poważnym tonem: – Dochodzenie jeszcze trwa. Nie mogę podać więcej informacji.

– Szkoda go – mówi Resi. – To był taki zgrabny chłopak, no taki...

– Jaki?

– No taki... po prostu. – Resi patrzy w dal, w kierunku szczytu Wendelstein.

To, co wylewa się z jej dekoltu, podnosi się i opada. Sprawia wrażenie, jakby wzdychała, a ponieważ Toni nie wie, co zrobić z oczami, patrzy na Riekego, Rieke na Ettmosera, Ettmoser na Heinzla, a ten zwraca się do Resi:

– Nie gadaj teraz bzdur, tylko przynieś nam jeszcze piwo!

– Tylko jedno wam w głowie – rzuca Resi i odchodzi.

Ettmoser, Heinzl i Toni jedzą dalej w milczeniu. Mięso jest jędrne i zarazem tak miękkie, że nóż przechodzi przez nie jak przez masło. Toni nadziewa kawałek na widelec i macza w sosie chrzanowo-jabłkowym. Mimo owocowo-pikantnej nuty sos wydaje się mdły. A porcja ziemniaków jest zdecydowanie za duża. Przy najszczerzych chęciach nie da rady zjeść tego do końca.

– Taki po prostu! Czy ta Resi upadła na głowę? – zastanawia się Rieke.

– Baby! – stwierdza Heinzl.

– Co prawda, to prawda – odpowiada Ettmoser.

– Trochę jednak miał racji ten dziennikarz. Tylko nie musiał tego mówić. Przynajmniej nie tak głośno.

– Albo chociaż nie powinien był chcieć tego publikować – stwierdza Heinzl.

– W czym miał niby ten dziennikarz rację? – pyta Rieke.

– Starego zbrodniarza wojennego nam tu naprawdę nie potrzeba.

– Jeszcze znowu przyjedzie tutaj ktoś z „Focusa” czy „Sterna”, lub w ogóle z telewizji i... – Ettmoser urywa w pół zdania.

Nad szczytem Wendelstein widoczna jest teraz jedna mała, biała chmurka. Jedyna, jaką można dostrzec na całym niebie. Toniemu ona nie przeszkadza. Gdyby się temu dokładnie przyjrzeć, to jest o tym nawet mowa w hymnie Bawarii: „I zachowaj kolory swojego nieba, biel i błękit”.

Heinzl w trakcie jedzenia nagle odkłada sztućce na talerz i pyta:

– Wie któryś z was, jaki numer pokoju ma John Demjanjuk w Domu Opieki Świątego Łukasza?

– Mieszka na drugim piętrze zaraz po prawej stronie, kiedy wyjdzie się schodami na górę – odpowiada Ettmoser.

Patrzy na Toniego. Rieke i Heinzl też patrzą na Toniego. Wszyscy patrzą na Toniego, a Heinzl mówi:

– Ktoś z policji mógłby przecież z łatwością...

– Nie, naprawdę nie – zaprzecza Toni.

Na jego talerzu leży lekko krwiste cielęce serce, a obok porcja ziemniaków. Toni wstaje i wchodzi przez drzwi do gospody. Resi ma już gotowe cztery piwa i stawia je na tacę swoimi delikatnymi dłońmi. Toni pyta ją:

– Resi...?

– Smakowało? – Dziewczyna podnosi tacę.

– Tak, ale chciałem właściwie...

– Tak?

– Potrzebujemy jeszcze kart do *Schafkopfa*¹⁰ – mówi Toni.

– Chcecie grać? – pyta Resi.

– Ja nie – odpowiada Toni. – Ale pozostali chcą. Muszą szybko coś rozegrać.

10 Tradycyjna niemiecka gra karciana; jedna z ulubionych i najbardziej rozpowszechnianych gier karcianych w Bawarii. Uchodzi za dobro kultury i część bawarskiego stylu życia. Schafkopf to gra dla czterech osób, jej celem jest uzyskanie jak największej liczby punktów przez graczy. Gracz, który złożył najwyższą ofertę, określa typ gry oraz to, czy będzie grał w grę partnerską, czy singlową (przyp. tłumacza).

Epilog

Dawny oprawca z obozu koncentracyjnego, John Demjanjuk, został znaleziony martwy w swoim łóżku w Domu Opieki Świętego Łukasza w miejscowości Bad Feilnbach, pewnego sobotniego poranka o godzinie czwartej czterdzieści pięć. Tylko złośliwych mógł zdziwić fakt, że dziewięćdziesięcioletni, doświadczony przez życie mężczyzna nagle umiera, mimo że poprzedniego wieczoru spacerował jeszcze po terenie domu opieki. Aby wykluczyć wszelkie spekulacje, przeprowadzono sekcję zwłok. Udział osób trzecich lub nienaturalna przyczyna śmierci zostały wykluczone. Jednak trzy miesiące później w aktach dochodzeniowych dotyczących śmierci można było przeczytać, że w noc zgonu Demjanjukowi został podany lek przeciwbólowy Novalgin. Nie powinny go przyjmować osoby chore na białaczkę, takie jak Demjanjuk, i z tego też względu obrońca zmarłego złożył doniesienie do prokuratury w Rosenheim przeciwko lekarzom z Domu Opieki Świętego Łukasza. Uzasadnienie: lek przeciwbólowy doprowadził do śmierci byłego strażnika obozu koncentracyjnego.

Duszone cielęce serca

Składniki (dla 2-3 osób):

1 małe serce cielęce (około 600 g),

1 por,

½ łodygi selera naciowego,

1 marchewka,

1 mała cebula,

masło klarowane,

sól, pieprz,
masło,
białe wino lub bulion warzywny,
pietruszka.

Sposób przygotowania:

Serce cielęce oczyścić z tłuszczu, żył i błon, dokładnie umyć i osuszyć kuchennym ręcznikiem papierowym. Pora pokroić w krążki. Seler i marchewkę obrać, umyć i pokroić w paseczki, a cebulę w drobną kostkę. Mięso przyrumienić z obu stron na gorącym klarowanym maśle na głębokiej patelni lub brytfance, doprawić pieprzem i solą. Wyjąć z naczynia i owinąć folią aluminiową. Pozostały tłuszcz odlać. W tym samym naczyniu podduśać warzywa na maśle, podlać odrobiną białego wina lub bulionem warzywnym. Mięso położyć z powrotem na warzywach i dusić na małym ogniu pod przykryciem przez około 45 minut. W razie potrzeby podlać winem lub bulionem. Wyjąć mięso z naczynia i trzymać w cieple pod przykryciem. Sos zagotować, przetrzeć przez sitko, wlać z powrotem do naczynia, doprawić pieprzem, zagęścić kostką zimnego masła i na koniec posypać drobno pokrojoną pietruszką.

Mięso pokroić w plastry, podawać z sosem własnym, smażonymi ziemniakami i sosem chrzanowo-jabłkowym.

Sos chrzanowo-jabłkowy

Składniki:
100 g śmietany,
sól, pieprz, cukier,
korzeń chrzanu (około 3 cm),
1 jabłko z Bad Feilnbach,
2 łyżeczki soku z cytryny.

Sposób przygotowania:

Śmietanę ubić na sztywno, doprawić solą, pieprzem i cukrem. Zetrzeć chrzan, a następnie delikatnie i powoli wymieszać go ze śmietaną. Jabłko obrać i przepołować. Usunąć gniazdo nasienne i zetrzeć połówki jabłka na tarce o dużych oczkach. Pokropić wszystko sokiem z cytryny. Masę jabłkową wymieszać delikatnie ze śmietaną i chrzaniem. Podawać od razu po przygotowaniu.

Zasmażane ziemniaki

Składniki:

1 kg ugotowanych na półtwardo ziemniaków,
przerośnięta słonina,
masło,
sól, pieprz.

135

Sposób przygotowania:

Ziemniaki umyć i ugotować na półtwardo w osolonej wodzie. Odcedzić, obrać i pokroić w półcentymetrowe talarki. Słoninę pokroić w drobną kostkę i roztopić na patelni. Dodać talarki ziemniaków, smażyć na średnim ogniu na złotobrzowy kolor, od czasu do czasu delikatnie mieszając. W razie potrzeby dodać masła. Przyprawić solą i pieprzem.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Justyna Dąbrowska

Korekta: Milena Macul, Maria Bernaciak, Michał Rymaszewski

Weryfikacja: Patrycja Pancierz, Michał Gola, Paulina Grzybowska, Damian Szandecki

Sczytywanie: Ilona Skrzypczak

Sprawdzenie z oryginałem: Izabela Pogwizd

MAGDA I MARIO

Tłum. Zuzanna Mamala

Kiedy Magda wyłączała silnik swojego volkswagena polo, trzęsa jej się ręka. Niemal całym swoim ciałem czuła, że był to początek nowego, prawdziwego życia. Spojrzała na Maria siedzącego na miejscu pasażera i uśmiechnęła się. Gdyby termin „pokrewieństwo dusz” odnieść do dwóch konkretnych osób, to na pewno byłiby nimi ona i Mario. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Przez dwa lata i dziesięć miesięcy codziennie pisali do siebie listy. Wyjątki, kiedy któryś z nich na przykład leżało w łóżku z czterdziestostopniową gorączką, dało się policzyć na palcach jednej ręki. Te dwa lata i dziesięć miesięcy to ponad tysiąc wielostronicowych listów, tysiąc otwartych drzwi do wewnętrznego świata Maria: do jego myśli, uczuć, historii życia, porażek, pragnień i marzeń, a nawet do tego, czym jeszcze nie potrafił się podzielić. Tysiąc listów i tysiąc odpowiedzi – wtedy znasz drugą osobę lepiej niż kogokolwiek na świecie.

Magda nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy poczuła, że z Mariem łączy ją coś wyjątkowego. Zupełnie przypadkowo trafiła na portal jailmail.net i z nudów zaczęła przeglądać profile więźniów. Trzeba przyznać, że opis Maria natychmiast przykuł jej uwagę, ponieważ brzmiał inaczej niż cała reszta, bardziej otwarcie i szczerze. Jednak gdy dziesięć dni później do niego napisała, towarzyszyły jej chyba te same myśli, co większości samotnych, opuszczonych kobiet, zawiedzionych nieudanymi związkami: „Zobaczysz, co odpowie. To nic zobowiązującego. Nie masz przecież nic do stracenia, bo i tak siedzi w pudle. Jak napisze coś niewłaściwego, w każdej chwili możesz dać sobie z nim spokój”.

Ale Mario nie napisał nic niewłaściwego – ani w pierwszym liście, ani w kolejnych. Interesowało go to, co miała mu do powiedzenia, czytał jej słowa z uwagą i traktował serio. To było więcej, niż doświadczyła w poprzednich związkach. Mimo to pozostawała ostrożna. Dopiero po sześciu miesiącach postanowiła odwiedzić go w więzieniu Stadelheim, a zanim zdecydowała się na dłuższą wizytę, odczekała jeszcze kwartał. Wtedy była już pewna.

Całowali się, dotykał ją swoimi pięknymi dłońmi, kochali się, byli prawdziwie szczęśliwi. Tak bardzo, że kiedy Mario powiedział jej, że pokój przeznaczony na dłuższe wizyty, wyposażony w kuchnię i oddzielną łazienkę, w żargonie więziennym nazywają „celą miłości”, obydwie się zaśmiali. Choć więźniowie i służba więzienna uważali ją za typową dziunię, a Doris – koleżanka z pracy, której się zwierzyła – zaklinała ją, by nie dała się omamić skazanemu mordercy, Magda wiedziała swoje. Więź łącząca ją z Mariem była jedyna w swoim rodzaju.

– Przynajmniej nie pozwól mu się od razu do siebie wprowadzić – zdążyła jeszcze powiedzieć Doris podczas wczorajszej przerwy na kawę.

– Dobre zachowanie nie wystarczy, żeby został warunkowo zwolniony. Potrzebuje stałego adresu zamieszkania – wyjaśniła Magda.

– Przecież on cię wykorzystuje.

Magda się uśmiechnęła.

– Nie boisz się, że kiedyś mu odbije i spotka cię to samo, co tamtą starszą kobietę?

– On tego nie zrobił, to była pomyłka sądowa!

– Nie mogłabym w nocy zmrużyć oka – stwierdziła Doris i włożyła pustą filiżankę do zmywarki.

– Kochamy się – odpowiedziała Magda.

A teraz, kiedy mieli zacząć wspólne życie, była zdenerwowana. Nie z powodu wątpliwości. Miała jedynie nadzieję, że Mariowi spodoba się jej mieszkanie. Że będzie się w nim dobrze czuł od samego początku. Magda wyjęła klucz ze stacyjki i otworzyła drzwi samochodu.

– Jesteśmy na miejscu.

Mario wysiadł z samochodu i spojrzął na dom, przed którym się znajdowali.

- Tam, na pierwszym piętrze? Balkon z kwitnącym oleandrem?
- Chodź. - Pociągnęła go w stronę drzwi i wyjęła klucze.
- Dopisałaś już nawet moje nazwisko na domofonie - zauważył

Mario.

- Bo od teraz to nasz wspólny dom.

Wspięli się po schodach. Magda otworzyła drzwi mieszkania na oścież. Mario wahał się przez chwilę. Następnie schylił się i wziął kobietę na ręce. Oplotła go ramionami, a on przeniósł ją przez próg. Nie było w tym ani trochę kiczu. Delikatnie postawił ją na ziemi, a ona przyglądała się w milczeniu, jak spacerował po mieszkaniu. Wodził wzrokiem po regale z książkami, lustrował reprodukcje Paula Kleeego i Miró wiszące na ścianach, kanapę z kolorowymi poduszkami z Tunezji, telewizor na mobilnym stoliku. Potem podszedł do aneksu kuchennego, który był wypucowany tak starannie, że wyglądał jak nowy. Powąchał róże stojące na stole. Magda długo zastanawiała się, ile kwiatów powinna kupić, żeby bukiet nie wyglądał na zbyt pretensjonalny ani zbyt skromny. Ostatecznie zdecydowała się na jedenaście, mimo że flakon był na nie trochę za mały. Jedenastka bowiem składała się z dwóch jedynek, które razem dają więcej niż ich suma. Było to dla niej jak dobra wróżba.

Mario otworzył drzwi balkonowe. Wyszedł na zewnątrz, oparł się o balustradę i spojrzął w dół. Po chwili wrócił do środka.

- Nasz dom - powiedział. - Tutaj chciałbym się zestarzeć. Razem z tobą.

Magda mieszkała przy spokojnej bocznej uliczce niedaleko centrum Bad Aibling. Kiedy miała ochotę wypić cappuccino w Café Lotte na placu Mariackim, co nie zdarzało się zbyt często, w ciągu pięciu minut była

na miejscu. Do wszystkich potrzebnych sklepów mogła dotrzeć pieszo, rzeka Mühlbach przepływała tak blisko jej mieszkania, że z balkonu kobieta nieraz czuła zapach wody. Tuż za rogiem znajdował się park zdrojowy, w którym biegła wieczorami, kiedy akurat nie miała nocnego dyżuru.

Jedynie klinika, w której pracowała jako pielęgniarka oddziałowa, mieściła się nieco dalej. Przy silnym mrozie lub ulewnym deszczu korzystała z samochodu, jednak najchętniej wybierała rower. Już w drodze do pracy, kiedy wjeżdżała na stromą górę przy kawiarni Alte Meierei, cieszyła się na myśl o powrocie. Potem, gdy zjeżdżała bez wysiłku, rozkoszowała się pędem, piskiem opon na asfalcie i podmuchem powietrza na twarzy. Wiatr pomagał jej oczyścić umysł z bólu i okropieństw, które na co dzień towarzyszyły jej w klinice. By pracować na oddziale neurologicznym, gdzie trafiają najcięższe przypadki, Magda musiała nauczyć się wyłączać myślenie. Pacjentów leżących w długoletniej śpiączce Doris nazywała nieraz lekceważąco „warzywami” wymagającymi opieki i pielęgnacji. Magdę za każdym razem wyprowadzało to z równowagi, choć wiedziała, że w głębi serca jej koleżanka tak nie myśli. W ten sposób radziła sobie z własną bezradnością.

Tak czy inaczej, w ostatnich dniach Doris miała tylko jeden temat: Mario. Nawet dziś, kiedy umyła już pacjenta, spytała:

– Jak tam z Mariem?

– Szuka pracy. Oczywiście nie jest to łatwe, bo przecież nie da się ukryć, gdzie spędził ostatnie dziesięć lat.

– Miałam na myśli, jak wam się układa?

– Co rano przynosi mi kawę do łóżka.

– Nie.

– Tak. A kiedy wracam, mieszkanie jest odkurzone, obiad ugotowany i nawet naczynia pozmywane. Rozmawiamy przy jedzeniu. Opowiada mi wiele o obcych krajach, bo kiedyś pracował jako steward w Lufthansie.

– Czyli jeszcze się nie pokłóciliście?

Magda pokręciła przecząco głową. Tak dobrze im się układało, jakby mieszkali razem od zawsze. Tylko intensywniej, bo ich codzienność nie miała nic wspólnego z rutyną. Jeszcze ani razu nie podzieliły ich odmienne zdania, pominąwszy jedną czwartkową rozmowę, kiedy po wiadomościach rozpoczął się serial „Rosenheim Cops”. Magda chciała wyłączyć telewizor.

– Zostaw! – poprosił Mario.

– Podoba ci się to?

– Jest zabawny, ta plotkara sekretarka i głupkowaty komendant policji...

– Morderstwo nie jest zabawne – odpowiedziała.

Mężczyzna nie wydawał się przekonany, ale natychmiast ustąpił. Oni naprawdę nigdy się nie kłócili.

– To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe – stwierdziła Doris. – Uwważaj na siebie!

Najwięcej radości sprawiał Magdzie wspólny jogging z Mariem. Trenowała nie tylko po to, by dbać o kondycję czy sylwetkę. Owszem, zależało jej na tym, ale bieganie znaczyło dla niej coś więcej. Prawdopodobnie było to związane z tym, że na oddziale nieustannie miała do czynienia z pacjentami przykutymi do łóżka. W każdym razie po przebyciu pierwszych stu metrów, kiedy już oddech i nogi odnajdowały własny rytm, a myśli stopniowo zaczynały wyparowywać z jej umysłu, czuła się prawdziwie szczęśliwa. Zupełnie jak gdyby życie było równoznaczne z poruszaniem się. Dodatkowo uczucie szczęścia się pogłębiało, bo dzieliła je z przeznaczoną jej osobą.

Mario biegł obok Magdy przez park zdrojowy. Słyszała jego oddech i równy odgłos ich wspólnych kroków na żwirowej drodze. Cieszyło ją, że udało mu się dostosować do jej tempa, choć był prawie o głowę wyższy

i miał dłuższe nogi. Nie rozmawiali ze sobą, ale Magda była pewna, że mężczyzna dostrzeże to samo, co ona. Spacerowiczów schodzących na bok, gałęzie wierzby płaczącej zwisające nad sadzawką, małego chłopca, który rzucił kij do wody i spłoszył dwie kaczki. Jak pociągnięte niewidzialnym sznurkiem, ptaki odfrunęły znad brzegu, mijając skupisko lilii wodnych, i wylądowały na fontannie znajdującej się pośrodku stawu. Magda zwolniła krok, zatrzymała się.

– Co jest? – spytał Mario.

Oddychała głęboko, spojrzała na parę kaczek w wodzie, na brzozy rosnące na drugim brzegu sadzawki.

– Dzisiaj zmarł kolejny pacjent – powiedziała.

– W klinice?

– Miał ponad osiemdziesiąt lat i już od miesięcy nie było z nim żadnego kontaktu. Z pewnością teraz jest mu lepiej, ale mimo to za każdym razem mnie to przytłacza.

Mario objął ją i mocno przytulił. Magda złożyła głowę na jego ramieniu. Cieszyła się, że nie jest sama. Stali tak jeszcze kilka minut.

– Chodź, biegnijmy dalej! – zawołał po chwili Mario.

– Aż padniemy z nóg – dodała Magda.

W środę wieczorem Mario po raz pierwszy nie czekał w domu na powrót Magdy z pracy. Zostawiła mu kluczyki do swojego polo, żeby po południu miał czym pojechać do urzędu pracy w Rosenheim. Trochę ją to zdziwiło, bo o dwudziestej pierwszej piętnaście raczej nikogo już nie przyjmują. Miała nadzieję, że nic mu się nie stało. Nie był przyzwyczajony do jej samochodu, może spowodował wypadek. Nie, lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Zrobiła sobie herbatę miętową, zarzuciła koc na ramiona i usiadła na balkonie. Oleander jeszcze kwitł, choć powietrze ciągnęło

już jesiennym chłodem. W ogrodzie panował mrok. Przez okno w domu naprzeciwko popatrzyła na telewizor prawie trzykrotnie większy niż jej. Na ekranie widać było jaskrawozieloną murawę, po której biegali piłkarze. Następne zbliżenie pokazało jednego z nich, tarzającego się po ziemi z twarzą wykrzywioną bólem.

Magda odchyliła głowę i spojrzała na nocne niebo. Chmury pozwalały dostrzec tylko pojedyncze gwiazdy, ale jej to nie przeszkadzało. Wiedziała, że tam są, bez względu na to, czy było je widać, czy nie. Cicho nuciła melodię kołysanki „Już księżyc łśni na niebie”, a w głowie słyszała tekst:

*...ciągnie gwiazdki do siebie,
bijące złotym blaskiem;
las się milczeniu kłania,
a z łąki się wyłania
bielutka mgła przed brzaskiem.*

143

Była dwudziesta trzecia trzydzieści, kiedy wrócił Mario. Od samych drzwi wołał Magdę, wyszedł do niej na balkon i pocałował w czoło. Czuć było od niego piwem.

– Dobrze, że wróciłeś – powiedziała Magda.

– Wpadłem na starego kumpla i namówił mnie do obejrzenia z nim Ligi Mistrzów. Wiem, że powinienem zadzwonić, ale...

– Przysiądź się do mnie na moment – przerwała mu.

Mario przysunął sobie drugie plastikowe krzesło i zapytał:

– Jesteś zła?

– Chcę, żebyś wiedział jedno – powiedziała. – Kocham cię i zawsze będę przy tobie. Bez względu na to, co się wydarzyło lub wydarzy.

– Wiem – odparł Mario i ujął ją za rękę.

Magda spojrzała na jego długie, delikatne palce.

– Możesz mi powiedzieć, co się wtedy stało. Z tą starszą kobietą. Cokolwiek się wydarzyło, między nami niczego to nie zmieni. Naprawdę. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej nas to do siebie zbliży, bo w ten sposób pokażesz mi, że...

– Zupełnie przypadkiem znalazłem się na miejscu zbrodni. – Mario cofnął swoją dłoń. – Nie znałem tej kobiety, nigdy jej nie widziałem, a już na pewno nie byłem w jej mieszkaniu. Nawet gdybym się do niej włamał, to po co miałbym ją zabijać? Z tego co wiem, była przykuta do wózka i nie kontaktowała. To gliniarze spieszyli dochodzenie. Czuli coraz większą presję i zrobili ze mnie kozła ofiarnego. Sfałszowane ślady DNA, podłożony naszyjnik z pereł i już cię mają.

– Nie musisz się bronić – powiedziała Magda. – Nikt cię tu nie oskarża. Chciałabym tylko zrozumieć, co się czuje w takim momencie.

– Dobry Boże, ja... – Mario urwał i bez słowa spojrział tępo w przeciwnie lewe okno.

Na ekranie telewizora migotały jadące z zawrotną prędkością samochody, z których ostrzeliwali się gangsterzy. Wyglądało to dość zabawnie. Może dlatego, że nie było słychać dźwięku.

– Zimno jest – stwierdził w końcu Mario.

– Może przyjdiesz do mnie pod koc? – zaproponowała Magda.

– Nie, wejdźmy do środka. – Wstał i ją podniósł.

– A jak się skończył? – zapytała, uśmiechając się do niego.

– Co?

– Mecz.

– Przecież wcale cię to nie interesuje, skarbie – zauważył, kiedy już byli w pokoju.

Magda prawie nie potrzebowała samochodu, dlatego nie miała nic przeciwko temu, że Mario pożyczał go teraz coraz częściej. Przeważnie jeździł

bez celu po okolicy, aby, jak sam powiedział, utwierdzić się w przekonaniu, że nigdzie nie jest tak wspaniale, jak u nich w domu. Magda zachęcała go do tych małych wypadów i nie wypytywała o nic, kiedy wracał późną nocą. Wystarczająco długo przebywał w zamknięciu, a ona – na miłość boską – nie chciała go trzymać pod kluczem. Każdy człowiek potrzebuje wolności i swobody, każdy człowiek ma prawo do swoich małych tajemnic. Pokrewieństwo dusz nie polegało na uczepleniu się sobie nawzajem niczym rzep, lecz na jednomyślności w poważnych kwestiach i decydujących momentach.

Czasami Mario potrzebował samochodu również do prac dorywczych, które jakoś udawało mu się znaleźć. Raz pracował w firmie sprzętającej, raz przy pomiarze natężenia ruchu, najczęściej jednak pomagał firmie cateringowej, kiedy potrzebny był dodatkowy personel na duże przyjęcia w zabytkowych pałacach. Następnego dnia opowiadał o parkach rozświetlonych pochodniami, położonych nad brzegiem jeziora. O kwartetach klezmerskich, które specjalnie zamówiono, ale na które nikt nie zwracał uwagi. O dżentelmenach z wyższych sfer, którzy zdecydowanie za szybko się upijali, i o damach, które pomimo świecidełek i odważnych sukien wieczorowych nie dorastały Magdzie do pięt.

– Ach, przestań już – odpowiadała na to Magda.

– Życie jest niesprawiedliwe – stwierdził Mario. – Czasami zadaję sobie pytanie, co zrobiliśmy nie tak.

– I?

– I co?

– Znalazłeś na nie odpowiedź?

Mario spojrzał na nią z góry i pokręcił przecząco głową.

– Chodzi o to, że niektórzy ludzie lekką ręką wydają pieniądze, a my musimy liczyć się z każdym centem. Sam chętnie wyprawiłbym takie przyjęcie z szampanem, muzyką na żywo, pokazem fajerwerków i innymi bajerami.

– Przecież mamy siebie – odparła Magda.

– No tak – odpowiedział Mario. – Ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy oprócz siebie mieli też niezłą sumkę na koncie w banku.

Tej nocy Magda długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała nad tym, czy życie było niesprawiedliwe i dlaczego nigdy wcześniej nie zadała sobie tego pytania. Może dlatego, że słowo „życie” miało dla niej zbyt ogólne znaczenie, by mogło zapoczątkować jakieś głębsze rozważania. Chociaż to nie do końca prawda. Stanowiło ono oczywiście podstawę całej reszty, ale nie jako wartość sama w sobie, tylko raczej jako osłonka, wewnątrz której mogło rozwijać się to, co najważniejsze. Życie przypominało Magdzie skorupkę jajka, a skorupki jajek nie były ani sprawiedliwe, ani niesprawiedliwe.

Mario spał niespokojnie. Przewracał się z boku na bok, szarpał głową w obydwie strony, od czasu do czasu głośno jęczał. Gdy niespodziewanie wyrzucił z siebie wyraźne: „Nie, nie!”, wypowiedziane obco brzmiącym głosem, Magda zapaliła lampkę nocną i położyła dłoń na jego czole. Było mokre od potu.

– Jestem przy tobie – wyszeptwała. – Możesz mi wszystko powiedzieć.

– Co? – Mario się przebudził, a raczej dopiero się rozbudzał, tkwił jeszcze w tym magicznym momencie, kiedy sen wydaje się bardziej realny niż rzeczywistość.

– Nie udusiłeś tej starszej kobiety, prawda? – spytała cicho Magda.

Mario spojrział na nią. W jego oczach zobaczyła, że magiczny moment już przeminął.

– Coś mi się śniło – odparł.

– Co?

– Nic. Nic ważnego.

– Opowiedz mi.

– Chodźmy spać. – Mario nachylił się nad nią i zgasił światło.

Magda wtuliła się w jego plecy. Szkoda, że nie chciał o tym rozmawiać, ale i tak nic nie zmieni tego, że byli sobie przeznaczeni.

Przy śniadaniu nie wspomniała o ubiegłej nocy. Zamiast tego powiedziała, że mogłaby zrezygnować z polisy na życie. Wprawdzie nie obyłyby się bez strat finansowych, ale zostałyby wystarczająco dużo

pieniędzy na zorganizowanie wystawnego przyjęcia. Takiego, o jakim Mario marzył.

– Przestań, nie mówiłem tego na poważnie – powiedział Mario.

Wgryzł się w kanapkę z marmoladą, przeżuł, przełknął i zapytał: – Od kiedy masz tę polisę?

– Od osiemnastu lat.

– A kto jest beneficjentem?

– Zamierzam ją przepisać na ciebie. Jeszcze dziś.

Mario się uśmiechnął. Sięgnął po dzbanek z kawą.

– Masz ochotę na jeszcze jedną filiżankę?

Magda grzecznie odmówiła. Przyglądała się, jak jego delikatne palce puściły uchwyt dzbanka.

147

Przez wiele miesięcy Doris, dręczona ciekawością, wypytywała o wszystkie szczegóły dotyczące związku Maria i Magdy. Wielokrotnie prosiła, by mogła go wreszcie poznać, ale kiedy w końcu doszło do ich pierwszego spotkania, zachowywała się gburowato. Zupełnie jakby wyrobiła sobie negatywną opinię na jego temat w chwili, kiedy Magda i Mario przekroczyli próg Café Lotte.

Magda dzielnie starała się rozkręcić rozmowę, ale nawet na najbardziej przyziemne pytania Doris odpowiadała zdawkowo. Kiedy Magda zachwycała się jakością cappuccino, Doris przytakiwała lakonicznie, a zapytana, czy dobrowolnie zgłosiła się na wigilijny dyżur, wzruszyła jedynie ramionami. W dodatku siedziała tak spięta na krawędzi krzesła, jakby się bała, że zaraz ktoś odbierze jej życie. Mario natomiast pokazał się z najlepszej strony – otwarty, uważny, zainteresowany.

Kiedy poszedł do toalety, Magda nachyliła się do Doris.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic.

- No mów, przecież cię znam, jest aż taki zły?
- Nie, wręcz przeciwnie.
- To dlaczego zachowujesz się z taką rezerwą?
- Ja... Nie czuję się zbyt dobrze. Zaczęło się już w klinice.
- Jakieś nieprzyjemności?
- Muszę już iść. Nie powinnam w ogóle przychodzić. – Doris nagle wstała. Wygrzebała dziesięć euro z portmonetki. – Za moją kawę.
- Daj spokój – odparła Magda.

Doris wsunęła banknot pod filizankę. Po chwili już jej nie było. Magda przyglądała się obrazom na ścianach. Abstrakcyjnym malowidłem w niczym nieprzypominającym pejzaży, skupiskom kolorów poszukującym ukrytego środka ciężkości.

- Trochę dziwna ta twoja przyjaciółka – powiedział Mario po powrocie.

- Wczoraj na naszym oddziale zmarła pani Wolfsegger – wyjaśniła Magda. – Nasza najstarsza pacjentka. Być może to ją tak przytłoczyło.

- Nie rozumiem, jak możesz tam pracować – stwierdził.
- Ktoś musi to robić – odpowiedziała.

Byli w domu niecałą godzinę i właśnie przebierali się na wieczorny jogging w parku, kiedy zadzwonił dzwonek. Magda pomyślała, że może Doris chce przeprosić za swoje obcesowe zachowanie, jednak gdy otworzyła drzwi, na klatce schodowej stali dwaj mężczyźni.

- Pani Magda Hasbeck? – zapytał jeden z nich, a ona skinęła głową.

- Czego panowie sobie życzą?
- Policja kryminalna. – Podali swoje nazwiska i bez pytania pokazali legitymacje. – Czy możemy wejść?

– Nie, nie możecie – syknął Mario z za jej pleców. Odsunął ją na bok, wykonał znaczący gest na wysokości gardła i wrzasnął: – Wara stąd, wy dupki, do jasnej cholery!

– Chcielibyśmy tylko zadać pani Hasbeck kilka pytań.

– Nie macie prawa...

Magda chwyciła Maria za ramię.

– Proszę wejść – powiedziała.

Sama poszła przodem. Zapropozowała policjantom, żeby usiedli, ci jednak nie skorzystali z zaproszenia. Stali tak samo jak Mario. Magda usiadła na brzegu sofy.

– W klinice, w której pani pracuje – zaczął jeden z policjantów – zmarła wczoraj siedemdziesięcioośmioletnia Gertruda Wolfsegger. Na pani oddziale.

– Tak – potwierdziła Magda.

– Jak do tego doszło?

– Była w podeszłym wieku, od miesiący leżała w śpiączce.

– Sądzi pani, że śmierć była dla niej wybawieniem?

– Mimo to jest przytłaczająca. Za każdym razem tak jest. Proszę mi wierzyć – odparła Magda.

– W drogach oddechowych pani Wolfsegger znaleźliśmy ślady włókien. Pochodzą one z jednej z poduszek należących do kliniki. Czy mogłaby nam pani powiedzieć coś więcej na ten temat?

– Nie – zaprzeczyła Magda.

Policjant wyjął notes, otworzył go i zaczął odczytywać: „Hartmut Loibl, Georg Sattler, Annemarie Stichlinger, Xaver”...

– Jest ich dziesięć – dodał drugi funkcjonariusz. – Dziesięć przypadków śmiertelnych przez ostatnie trzy i pół roku. Dziesięcioro pacjentów, którzy prawdopodobnie nigdy nie wróciliby już do zdrowia, ale z reguły ich stan był stabilny. Z medycznego punktu widzenia.

– Z reguły – podkreślił pierwszy.

– Przesłuchiwaaliśmy też pani koleżanki z oddziału, sprawdziliśmy grafiki dyżurów – powiedział drugi. – Te dziesięć osób zmarło na pani zmianie, pani Hasbeck. Bez wyjątku.

– Dwa ciała zostały skremowane. Złożono już wniosek o ekshumację pozostałych. Jeżeli przyczyną śmierci pacjentów było uduszenie, znajdziemy włókna.

– Pani Hasbeck? – zapytał pierwszy policjant.

Magda patrzyła przez szybę drzwi balkonowych na miejsce, gdzie w lecie stał kwitnący oleander. Mario zaniósł go do piwnicy przed pierwszym mrozem. Tam roślina przetrzymuje i na wiosnę ponownie wypuści pędy, jeżeli Mario nie zapomni o podlewaniu jej co kilka tygodni.

Magda wstała. Uśmiechnęła się do Maria i oznajmiła:

– Codziennie będziemy mogli pisać do siebie długie listy. Opowiadać sobie o wszystkim. Dlaczego, z jakiego powodu i jakie uczucia nam wtedy towarzyszyły.

Mario nie odpowiedział. Stał oparty o stół kuchenny, a knykcie pobiełały mu od ciężaru tułowia. Wpatrywał się w Magdę. Wydawało jej się, że w jego oczach widzi coś obcego, a zarazem znajomego. Gdyby miała znaleźć na to jakieś określenie, byłoby to „pokrewieństwo dusz”.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Anna Dudało

Korekta: Katarzyna Płońska, Ilona Skrzypczak, Kaja Jaroszevska, Alicja Podkalicka

Weryfikacja: Ilona Skrzypczak, Jakub Moroński, Patrycja Pancierz, Joanna Gasińska, Damian Szandecki

Sczytywanie: Dawid Wiktorski

Sprawdzenie z oryginałem: Klaudia Marek

Fantazmaty działają non-profit od 2017 roku. To nasza dziewiąta antologia. 150 osób wolontariacko poświęca swój czas, byśmy mogli działać skutecznie i profesjonalnie. Chcemy, by nasze książki nadal docierały do każdego czytelnika w formie bezpłatnych ebooków i audiobooków, a kolejne darmowe poradniki pisania pojawiały się na stronie WWW.

Wiesz, że ty też możesz mieć swój wkład w Fantazmaty?

Zostań naszym Patronem.

Wspierając projekt, pomożesz nam utrzymać stronę internetową i opłacić koszt serwera, dasz nam możliwość pojawiania się nie tylko na konwentach, ale też na targach książki. Dzięki tobie więcej osób będzie mogło dowiedzieć się o Fantazmatach, a przez to spełnić swoje marzenie o opublikowaniu tekstów, wydać swoją twórczość przy wsparciu zaangażowanych redaktorów i korektorów, sprawdzić się jako ilustrator, przyłączyć się do zaangażowanego zespołu, zdobywać wydawnicze doświadczenie oraz przeczytać książki takie jak ta.

Zajrzyj na patronite.pl/grupawydawniczafantazmaty